POLSKA WALCZĄCA

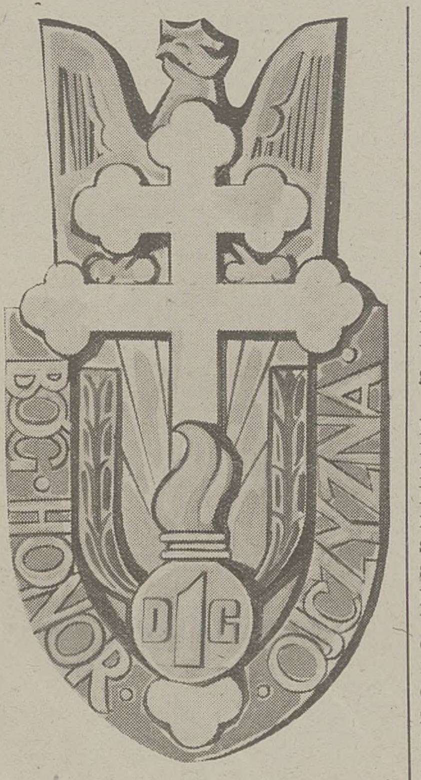
ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 19-go czerwca 1943r.*** — **Rok V. Nr. 24**

SENS CZERWCOWEGO CZYNU

"Polska Walcząca" uczestniczy w święcie 1 Dyw. Grenadierów braterskimi uczuciami. Pamiętamy, że z pośród żołnierzy Dywizji to pismo rekrutowało pierwszych współpracowników i pierwszych czytelników, że do dziś zachowało wśród nich wielu wiernych i oddanych przyjaciół. Pamiętamy wzruszającą życzliwość, okazywaną temu pismu przez robotniczą emigrację polską we Francji, która ojców, synów i braci oddała szeregom Dywizji. Pamiętamy i z nami pamięta każdy żołnierz polski, będą pamiętały zawsze Polskie Siły Zbrojne, póki trwać będzie ich imię i pamięć, że 1Dywizja Grenadierów krwawiąc się na polach Francji w czerwcu 1940 *roku, spełniła swój obowiązek żołnierski w sposób najbardziej ofiarny, najgodniejszy, w sposób prawdziwie polski.*



Trzy lata. Przestrzeń czasu ogromna, przestrzeń czasu w tej wojnie decydująca. Trzy lata dzielą nas Polaków, a razem z nami całą resztę walczącego z Niemcami świata od chwili, kiedy dotknęliśmy tego dna przepaści w klęsce, tej otchłani w nieszczęściu, z której, po ludzku rzecz biorąc, nie było już odwrotu ani odratowania. Czerwiec 1940 zdawał się w dziejach Europy i w rozumieniu nie tylko wroga zatwierdzeniem decydującym września 1939. Był dla nas progiem perspektyw zastraszających i beznadziejnych dla sprawy, której pragnęliśmy bronić. W powodzi zwycięstw Hitlera jeszcze tylko Wielka Brytania trzymała się na powierzchni. Nie mieliśmy prócz niej już nikogo, tak jak ona miała już tylko nas, jako jedynych wówczas sprzymierzeńców.

Nauka owego klęskowego czerwca, którego wspomnienie święcimy dzisiaj uroczystością odrodzonej Pierwszej Dywizji Grenadierów, chociaż na dobrą sprawę jest ona świętem całego polskiego wojska, co się biło we Francji — z odległości tych trzech lat minionych, a obfitych w tyle dokonań i tyle nowej nadziei, musi zamknąć się stwierdzeniem wiary w niezłomną siłę i wytrwałość moralną Polaków. Przeżyli oto w ciągu niespełna roku dwie najstraszniejsze w dziejach i najbardziej niszczące klęski, a mimo to nie poddali się ani zniechęceniu ani rozpaczy. Nie dali za wygraną. I nieśli w sobie nadal odpowiedzialność za los tej rozprawy z śmiertelnym wrogiem, i nieśli w sobie wolę prowadzenia jej wbrew wszystkiemu i wszystkim — aż do zwycięstwa.

Trudno naprawdę wyobrazić sobie gorsze położenie, albo niklejsze szanse urzeczywistnienia naszych zamierzeń powrotu i wyzwolenia ojczyzny, niżeli w czasie, gdy ostatnie polskie oddziały, walczące na kontynencie poszły w rozsypkę, rozbite, pokonane, albo bezbronne. Gdy niedobitki tylko nowych wielkich jednostek polskiego wojska, odbudowane z podziwu godną szybkością we Francji, przeprawiały się ku brzegom straszliwie zagrożonej Anglii, aby stamtąd raz jeszcze, po raz ostatni rozpocząć nowy epizod wojny o byt albo niebyt narodu. Byliśmy bliżsi niebytu, niż bytu w tych czarnych, okropnych dniach. A przecież byliśmy jedni z ostatnich, którzy przestali walczyć na kontynencie i jedni z pierwszych, którzy tę walkę podjęli z nowych baz na angielskiej wyspie.

Ale wspomnienie tych dokonań posiada jeszcze inny wymiar, który należy dzisiaj przypomnieć i podkreślić dla tych zwłaszcza, którzy już zapomnieli o naszych najcięższych przejściach po wrześniu i przed czerwcem, o tych czasach, gdy nikt trzeźwo myślący nie potrafił ocenić sytuacji i naszego w niej miejsca i roli, którą w niej odegrało szaleństwo polskiego oporu, protest czynny i krwawy przeciw szaleństwu przemocy, grożącej zupełną zagładą, naprawdę nie nam samym. Dochowaliśmy wiary nie tylko ideałom i tradycjom historycznych naszych przekazań, ale poza grób nawet, poza grób niepodległości własnej dochowaliśmy wiary zobowiązaniom i sojuszom, jakie wiązały nas z europejskim Zachodem. Na tym właśnie i na tym przede wszystkim polega dziejowa wartość i wymowa czerwcowego czynu polskich wojsk. To jest pierwszy i najważniejszy wniosek w historycznym i politycznym widzeniu owej beznadziejnej na pozór walki.

I dopiero z tego fundamentu wyprowadzić można tę specjalną, lokalną wartość czerwcowej kampanii i udziału w niej polskiego wojska, jaką stanowi przypieczętowanie naszą krwią tragicznego epilogu przyjaźni i sojuszu Polski z Francją. Ale zamknięcie tego rozdziału i zakończenie go klęską Francji nie jest — wiemy to dzisiaj — ostatecznym załatwieniem tej sprawy. To, co z woli wroga miało stać się trumną, dzisiaj zaczyna przybierać kształt kolebki. To, co miało być końcem, będzie nowym początkiem, będzie punktem wyjścia dla odrodzenia przyjaźni narodów na ziemiach świata, który najwyższe nasze poświęcenie i bezprzykładną ofiarę przyjął jako zasadniczy wkład i jako kamień węgielny dla budowy lepszego niż dotąd życia.

W dniach owego strasznego czerwca odnowiona została poza tym w pięknym stylu wielka tradycja wspólnych europejskich celów, o które biły się już legiony polskie czasu Napoleona. Na ziemiach pobitej Francji powstała znowu i dotąd żyje między ludnością Lotaryngii i Alzacji, Bretanii i Burgundii, Andegawenii i Wogezów legenda polskiego bohaterstwa i polskiej wierności, ale rozszerzyła się także na te prowincje Francji, gdzie skupiska polskiej emigracji dawno już zdążyły zaszczepić i utrwalić inną legendę i inną wartość — legendę polskiej pracy, wartość polskiego robotnika.

Ten krwawy i szlachetny mit świetności polskiego żołnierza przeniósł się poza tym w obozy jeńców i z nich raz jeszcze, wtórnym jak gdyby promieniowaniem wraca do Francji i utrwala się między ludźmi, dzielącymi za drutem kolczastym wspólny los przyjaźni nieszczęśliwej, ale wiernej i tak wiele obiecującej na przyszłość.

Jeżeli dzisiaj, z okazji smutnej, właściwie tragicznej i strasznej rocznicy święcimy ją w sposób szczególny w Pierwszej Dywizji Grenadierów, odrodzonej na ziemiach Wielkiej Brytanii, pośród szkockich naszych przyjaciół i gospodarzy, to trzeba powiedzieć, że przywilej tego święta kupiony został przez tę jednostkę chyba najdrożej i w warunkach najbardziej trudnych.

Jest rzeczą wojskowych i wojennych historyków ustalanie miejsca i roli poszczególnych jednostek polskich w francuskiej kampanii czerwcowej, poprzedzającej klęskę i w samej klęsce. Dziś tylko jeden znak pragnę przypomnieć, jeden dokument z tamtych czasów, o którym nawet dotąd nie wie wcale większość żołnierzy Dywizji. Że mianowicie odznaczona została przez francuskie Dowództwo jako cała jednostka krzyżem "*Croix de Guerre,*" a jej dowódca otrzymał prawo indywidualnego nadawania francuskiego krzyża swoim żołnierzom. W owych klęskowych warunkach boju i bytu na froncie, po zażądaniu przez Francję rozejmu, było to najwyższe uznanie postawy i roli, jaką odegrała ta polska jednostka w ramach francuskiej czwartej armii, kiedy biła się "do ostatniego kresu sił, do najwyższego poświęcenia," otoczona i odcięta od jakiegokolwiek ratunku; kiedy to każdy jej żołnierz był zarazem w pierwszej i — w ostatniej linii.

Nie wiem, czy wiele jest sojuszniczych oddziałów, które Francja uczciła w taki sposób, którym po wojskowemu złożyła podobny hołd za poniesioną ofiarę, za wzorową i wierną służbę. Praktycznie biorąc, każdy żołnierz Pierwszej Dywizji ma dzisiaj prawo noszenia zielonych sznurów t.zw. "*Fouragère*" przy lewym naramienniku, jak żołnierze francuskich oddziałów, w których to wyróżnienie nadawane było zwykle nie dywizjom, ale tylko pułkom. W okresie odradzającej się wielkości francuskiej armii, która posiada tak wspaniałą i dumną tradycję, było by dobrze używaniem tego przywileju podkreślić wagę, jaką przywiązujemy do niezmiennych uczuciowych związków polskiej armii wolnościowej z francuską, było by dobrze w ten sposób wyrazić na zewnątrz udział, jaki przyjmujemy w toczącej się walce podziemnej na jej terytoriach i z jaką witamy jej piękne zwycięstwo w Afryce.

Bo gdy dzisiaj, na nowostworzonej odznace 1. D.G. motyw podwójnego krzyża Lotaryngii, który dla wolnych Francuzów jest zarazem sygnałem walki o niepodległość łączy się z naszym herbowym znakiem orła, widzimy w tym symbol związków nie tylko tego oddziału z ukochaną ziemią króla Stanisława Leszczyńskiego. Widzimy w nim emblemat wspólnej walki i wspólnych nadziei Polski i Francji. Widzimy w nim symbol dawnej przyjaźni, uświęconej od nowa krwią. I nie tylko pamiątkę, lecz wskazanie także, znak służby minionej, ale zarazem i przyszłej, obowiązku spełnionego i zostającego do spełnienia — będziemy odtąd nosić na naszym mundurze.

Rozszerzył znowu ojczyznę naszą ten trudny, krwawy epizod, świadczący o tym, że broniliśmy tak jak dawniej, wolności nie tylko naszej, granic nie tylko swoich. W dziejach tej wojny zapisujemy obecność swoją na każdym froncie, na każdym polu walki chociaż stawało się ono dla nas tak często polem klęski. A mimo to każde z nich zostanie w dziejach i w sercach naszych polem chwały.

Bo ta cierniowa droga chwilowych klęsk i porażek doprowadzi nas do zwycięstwa. Nieszczęście zbliżyło nas do Francji, do jej ludu zwłaszcza szlachetnego i który, tak jak lud polski w chwilach najtrudniejszych zdaje dzisiaj egzamin patriotyzmu. Droga powrotna do ojczyzny prowadzi dla Pierwszej Dywizji Grenadierów — przez Francję.

Tam we Francji na polach jej walki sprzed trzech lat, czekają groby kolegów i przyjaciół, poległych z wiarą w nasz powrót i w nasze zwycięstwo. Ta ich wiara i śmierć jest dla nas żywych dziś, jak przykazanie, ta ich wiara i śmierć woła i czeka od nas zadośćuczynień. Bo tylko one przywrócić im mogą sens, mogą sprawić, że lekka im będzie ta ziemia obca niby, a przecież będąca progiem nowej, lepszej ojczyzny. Taki jest dług nasz serdeczny, zaciągnięty wobec tych, którzy zostali. Taka jest droga nasza, która prowadzić musi do Polski nad ich grobami, aby mógł się nad nimi pochylić nasz wolny, zwycięski sztandar. Ta chwila dopiero powie i dowiedzie, że nie napróżno cierpieli, że niezupełnie umarli.

Odradzająca się w Szkocji Pierwsza Dywizja Grenadierów i jej dzisiejsze święto rozumiane przeto być musi jako znak woli powrotu naszego w to miejsce i na te ziemie, gdzie się pisała już raz jej historia i gdzie ją wspólny wróg próbował na zawsze skończyć. Z tego samego miejsca, gdzie już raz żołnierz jej wypełnił swój obowiązek aż do ostatka, rozpoczynać znów będzie marsz bojowy i walkę o wolność całej Europy, której staliśmy się jako naród sumieniem, której jesteśmy nadal świadectwem i próbą.

I dlatego ta wojskowa uroczystość nasza, chociaż ograniczona do ram jednej tylko jednostki, łączy myślą i czuciem wszystkich żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, stanowi bowiem święto już nie tylko nadziei i woli, ale tym razem pewności także naszego końcowego zwycięstwa i odrodzenia.

ALEKSANDER JANTA

Defilada 1 *Dywizji Grenadierów w dniu* 3-*go maja* 1940 *w strefie przyfrontowej na szosie Nancy-Neufchatau między wsiami Autreville i Marteigny*



Szkic sytuacyjny

KRUSZENIE ZEWNĘTRZNEGO PIERŚCIENIA WŁOCH

Wyspa Pantellaria padła. 3 *tysiące wypadów dokonanych przez bombowce i myśliwce sojuszników złamały opór wyspy*, którą Mussolini nieraz nazywał swoją "Maltą." *Przez 17 dni obkładano wyspę włoską ładunkiem bomb najcięższych i ciężkich.* 80 ton bomb spadało tygodniowo na jedną milę kw. 20 maszyn przepadło w wypadach, 40-u lotników pochłonęły te działania. *Jest to koszt bardzo niewielki*, jeżeli zważy się, że Pantellaria rozporządzała bardzo silną obroną. Wszystkie jednak baterie przybrzeżne, działa przeciwlotnicze i t.d. zostały rozniesione bombami; wyspa nie potrafiła się już bronić a lotnictwo włoskie i niemieckie nie stawiało oporu. Garnizon wyspy liczył *do 15-tu tysięcy.* 10 tysięcy jeńców dostało się w ręce brytyjskie do południa dnia 12-ego czerwca.

Bezpośrednio potem uwaga lotnictwa sojuszniczego skierowała się na inną wyspę, Lampedusę, która była o wiele gorzej umocniona, aniżeli Pantellaria. Lampedusa rychło podzieliła los bratniej wyspy. Teraz pomiędzy Sycylią a bazami sojuszniczymi nie ma już żadnych przeszkód, i działania flot są poważnie ułatwione. Nastąpiło wzmożenie nalotów na Sycylię i Sardynię gdzie, jak zaznacza *Evening Standard* z dnia 12-ego czerwca zadanie będzie trudniejsze ze względu na znaczne obszary, jakie trzeba bombardować.

Upadek Pantellarii jest wielkim sukcesem lotnictwa. Po raz pierwszy lotnictwo zmusiło do kapitulacji fortyfikowany obiekt i to obiekt bardzo poważny. Niewątpliwie tego rodzaju powodzenie da ofensywie lotniczej sojuszników nowego bodźca. Rozmach tej ofensywy rośnie i to we wszystkich kierunkach — *z Dalekim Wschodem włącznie.*

CO Z WŁOCHAMI?

Ciągle jeszcze nie możemy odpowiedzieć na to pytanie. *Prezydent Roosevelt skierował nowe wezwanie do narodu włoskiego, ażeby powstał przeciwko faszyzmowi* i obiecał, że jeżeli Włochy pozbędą się Mussoliniego i jego rządu, który wprowadził niepotrzebnie naród włoski w wojnę to wówczas powrót Włoch do grona narodów europejskich nie będzie tak trudny. Roosevelt zaznaczył, że Narody Zjednoczone nie będą stawiać trudności na drodze wyboru przez naród włoski rządu, a zatem nie będą czyniły żadnego zamachu na polityczne życie Włoch.

Jest to posunięcie słuszne. Podobna polityka stosowana wobec Francuzów w Afryce Płn. dała wyniki, chociaż bynajmniej nie znaczy to jeszcze, ażeby miała tam zapanować zgoda, przeciwnie, zaognienia między Giraud a de Gaulle'm nie ustają, a de Gaulle bardzo ostro stawia sprawę; *przez delikatność i spokój traktowania wewnętrznego zagadnienia Francji mocarstwa anglosaskie zyskały sobie wielkie uznanie* i napewno ten ich krok przyjęty został przez narody Europy jako dowód, że Anglosasi nie będą narzucać żadnych "rozwiązań" krajom odwojowanym przemocy państw osi.

Nie wiemy, jakie echo będą miały słowa Roosevelta, ale wydaje się, że powinny one wzbudzić odruch. Stany Zjd. zajmują wobec Włoch stanowisko specjalne; Ameryka robiła wszystko, ażeby powstrzymać Włochy od wejścia do wojny, Stany Zjd. mają w swoim składzie *poważną grupę włoską* a wpływy polityków pochodzenia włoskiego są tam duże/ chociażby burmistrz La Guardia/. Imponują one i imponowały stale Włochom, którzy doceniają ogrom materialny i siłę finansową U.S.A. *Apel Roosevelta jest krokiem śmiałym i krokiem na czasie.* Należy on do najważniejszych posunięć propagandowych tej wojny.

CO BĘDZIE NA WSCHODZIE?

Na froncie wschodnim wbrew pogłoskom, doniesieniom i—zaprzeczeniom, *nie ruszyło się na razie nic.* Pisma szwajcarskie donoszą, że kto wie, czy Rzesza nie zaryzykuje istotnie defensywy i czy nie przejdzie do działań na innych teatrach. Jedno z pism z Lozanny w depeszy z Berlina z dnia 11-ego czerwca podsuwa myśl, że "*Wehrmacht*" *przygotowuje się do dywersyj na brzegu brytyjskim*, względnie do uderzeń niemieckich "commandosów" oraz oddziałów spadochronowych w głąb W. Brytanii. Tego rodzaju operacje—zaznacza pismo szwajcarskie — byłyby zarówno wywiadem, albowiem Rzesza chciałaby dowiedzieć się, jakie siły brytyjskie zbierają się na wyspach celem dokonania ataku na Kontynent, jak i miałyby zadanie dywersyjne, usiłowały by niszczyć rozmaite ośrodki fabryczne i t.d.

Nie wiemy, czy doniesienie szwajcarskie jest sugerowane przez Berlin w tym celu, ażeby pogrozić Anglikom, że nie są całkowicie bezpieczni, czy też jest istotnie dowodem, iż jednak Rzesza przygotowuje jakieś dywersje, zarówno lotnicze jak i "lądowe" skierowane przeciw naszym wyspom. Tego rodzaju działania dowodziłyby, że *sztab niemiecki nie mógł oprzeć się presji opinii publicznej Rzeszy*, opinii domagającej się "zemsty" we wszelkiej postaci. Pisma niemieckie przepełnione są zapowiedziami, że zemsta taka spadnie na W. Brytanię —dowodzi to, że *nacisk ogółu w tym kierunku jest olbrzymi.*

Nie jest wykluczone, że raz jeszcze Niemcy dadzą się unieść swojemu temperamentowi i swojej wściekłości i uderzą w jakiś bliżej jeszcze nieznany nam sposób na Anglię. Z dywersją taką napewno w Anglii się liczą. Jest rzeczą jasną, że dywersja taka nie może mieć dzisiaj wielkich szans powodzenia. *Będzie to raczej krok rozpaczy* i jeżeli do niego dojdzie, można będzie wyrokować, że wytrzymałość nerwowa Rzeszy jest mniejsza, aniżeli sądzono i że *Niemców ponosi pasja.*

BOMBY CORAZ CZĘSTSZE

Po 12-tu dniach przerwy lotnictwo USA i W. Brytanii uderzyło w Niemcy. Naloty dzienne na porty niemieckie /Wilhemshaven i Cuxhaven/ były bardzo ostre, na Duesseldorf w nocy z dnia 11-ego na 12-ty czerwca, stanowił *najcięższy nalot nocny wojny.* Przypuszcza się, że 1000 maszyn wyruszyło na Rzeszę i że w ciągu godziny zrzucono na Duesseldorf *potężny ładunek bomb.*

Straty poniesione w czasie nalotu nocnego są duże, widocznie maszyny napotkały na bardzo silny sprzeciw zarówno z ziemi, jak i w powietrzu. Rzesza czyni rozpaczliwe wysiłki, ażeby wzmocnić obronę przeciwlotniczą a *produkcja pościgowców nocnych jest bodaj dzisiaj szczególnie duża.* Na pewno jednak nie może ona nastarczyć. W nalocie z 11-tego na 12-ty bomby brytyjskie zniosły i zmusiły do milczenia liczne baterie, przy czym niektóre dzielnice miasta zostały, jak powiada język angielski, "*nasycone*" — oczywiście bombami.

Lektura wyjątków z pism niemieckich nie pozostawia żadnej wątpliwości co do ogromu strat wyrządzonych przez bomby sojusznicze. Zachód Rzeszy jest dzisiaj, jak przyznają sami Niemcy, "frontem." Z lektury pism widzimy jasno, że brak mieszkań, wody i t.d. są dzisiaj zjawiskami wcale powszechnymi i że z miast odbywa się *ucieczka ludności.* Sporo tych uchodźców schroniło się do Sudetów, wielu do Austrii, wielu do *Małopolski Zachodniej.* Ucieczka ta odbywa się stale. Jak przedstawia się na tym tle sytuacja robotnicza, nie wiemy. Sądzić trzeba, że Rzesza *przesuwać będzie coraz więcej robotników obcych na obszary zagrożone.* Wiemy, że *obozy jeńców* znajdują się na tych obszarach i że Niemcy czynią to całkowicie jawnie i celowo.

Nastroje ludności niemieckiej oddają najlepiej liczne ostrzeżenia, artykuły zachęcające, wzywające do "*krzepy*," wytrwania, do nienawidzenia Anglików, do wzmożenia poczucia rasowego i t.d. Te wszystkie wezwania dowodzą, że *ludność znajduje się w stanie dużego otępienia, że żywi obawy najgorsze i że widmo produkcji amerykańskiej spędza jej sen z powiek.*

Na tym tle rozumiemy stałe polemiki z USA, dowodzenie, że Stany Zjd. nie mogą jednak wykonać swojego programu zbrojeniowego i t.d. Stałe pomniejszanie produkcji amerykańskiej i opowiadanie o rozmachu produkcyjnym Rzeszy, dowodzi, że ludność Niemiec żywi wielkie obawy na ten temat.

Drugą bolączką jest niewątpliwie wojna podwodna. Ludność Rzeszy wierzyła przez długi czas, że okręty podwodne odegrają rolę, jeżeli nie decydującą, to w każdym razie *pomocniczą* w zmuszeniu sojuszników do jakiegoś pokoju. Dzisiaj i ta karta *zawodzi.* Okręty podwodne muszą bowiem coraz częściej wychodzić na powierzchnię, prażone bombami, a załogi wolą jednak mieć jaką taką szansę uratowania się, aniżeli iść na dno — i więcej się z niego nie podnieść. Lotnictwo sojusznicze coraz bardziej dokucza okrętom podwodnym. Sprawozdania z przepraw morskich ogłaszane na łamach prasy brytyjskiej, wskazują, że *obecnie każdy większy konwój ma jednak swój lotniskowiec*, przyczem nieraz taki lotniskowiec jest po prostu wielkim transportowcem odpowiednio do tych celów przygotowanym.

W tych warunkach nasilenie wojny podwodnej nie będzie tak łatwe. Przeciwnie, *okres lata okazać się może dla Rzeszy bardzo zły.* Jeżeli w czasie lata nie odniesie ona spodziewanych sukcesów, to trudno je będzie uzyskać w jesieni. Do jesieni właśnie mogą okręty podwodne przegrać kampanię — chociaż ostatecznego przegrania tej kampanii nie można przewidywać przed zakończeniem wojny.

Znany amerykański dziennikarz Shirer, który zjawił się niedawno w Anglii, w wywiadzie udzielonym "*Daily Mail'owi*" zaznacza, że nie należy się mimo wszystko liczyć z szybkim załamaniem Rzeszy i że trzeba przyjąć, iż Rzesza może jeszcze przetrwać najbliższą zimę. Potem dopiero przyjdzie okres kiedy spojenia Rzeszy narażone będą na najgorsze cięgi i próbę. Shirer sądzi, że *w jesieni* 1944-*ego* Rzesza znajdzie się na skraju przepaści.

Wniosek ten pokrywa się z wnioskami wielu obserwatorów, mniej optymistycznych jak n.p. dr. Benesz, którego liczne przepowiednie mają dziwną skłonność niesprawdzania się. Nie przeszkadza to jednak, że dr. Benesz wygłasza dalej swoje przepowiednie, uważając, że jednak trzeba dawać strawę pismom złaknionym taniego optymizmu.

Londyn, dnia 15-ego czerwca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

6 *czerwca: W czasie uroczystości ku czci Polski w Chicago gubernator stanu Illinois p. Dwight Green powiedział: "Oświadczamy, że chcemy walczyć o "cztery wolności" i będziemy o nie walczyć póki ich nie zdobędziemy. Niechaj wszyscy tu zebrani składając hołd sławnemu narodowi polskiemu równocześnie dodadzą do tych "czterech wolności" jeszcze jedną — wolność Polski, która musi być bezwarunkowa i trwała."*

7 *czerwca: Naczelny Wódz dokonał inspekcji Dywizji Karpackiej na Środkowym Wschodzie, w obecności gen. Andersa i dowódcy dywizji gen. Kopańskiego.*

8 *czerwca: Gen. Sikorski przyjął defiladę Dywizji Karpackiej. Po defiladzie Naczelny Wódz dekorował Krzyżem Walecznych oficerów brytyjskich, którzy odznaczyli się razem z Polakami w czasie walk w Tobruku.*

Do żołnierzy gen. Sikorski wygłosił przemówienie w którym m.in. powiedział: "Wyrażam wam po przeprowadzeniu inspekcji, nie tylko uznanie w imieniu służby narodowej za waszą wytrwałą pracę żołnierską, ale także za wasz charakter i duch prawdziwie żołnierski, za waszą lojalność, oddanie, nieugiętość i gorący patriotyzm, jaki okazaliście i jaki — jestem tego pewien — okażecie w godzinie próby. Dowody tego widziałem na każdym kroku. Posiadacie środki, aby opanować tę masę nowoczesnego uzbrojenia."

Następnie gen. Sikorski odczytał list Prezydenta R.P.

—Sprzymierzeni wezwali Pantelarię do poddania się.

—Komunikat brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa ogłosił, że zespół polskich myśliwców w czasie 7-tygodniowych walk w Tunisie zestrzelił na pewno 25 samolotów nieprzyjacielskich przy stracie własnej 1 pilota, wykonując ponad 400 lotów bojowych.

9 *czerwca: Ogłoszono, że na liście okrętów Sprzymierzonych, które zestrzeliły największą ilość samolotów nieprzyjacielskich na pierwszym miejscu znajduje się O.R.P. "Ślązak" obok kontrtorpedowca brytyjskiego.*

—Gen. Sikorski dokonał inspekcji szpitala wojennego przy Kwaterze Głównej Armii Polskiej na Wschodzie.

10 *czerwca: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały zadanie "wymiatania." Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Tego samego dnia inny dywizjon myśliwski osłaniał wyprawę bombową. W drodze powrotnej myśliwcy polscy zostali zaatakowani przez pilotów niemieckich w przeważającej liczbie. W czasie walki, która się wywiązała, Polacy zestrzelili na pewno trzy F.W., prawdopodobnie trzy dalsze oraz uszkodzili dwa, bez strat własnych.

11 *czerwca: Ogłoszono, że O.R.P. "Dzik" storpedował na Morzu Śródziemnym nieprzyjacielski statek cysternę.*

—Wyspa włoska Pantellaria na Morzu Śródziemnym, bombardowana z powietrza i z morza od dłuższego czasu przez Sprzymierzonych poddała się. Jest to pierwsze w dziejach wojen zdobycie ważnej fortecy bez współudziału wojsk lądowych.

—Polskie Skrzydło Myśliwskie przeprowadziło zadanie wymiatania nad terenem nieprzyjacielskim. W wyniku walki z myśliwcami nieprzyjacielskimi Polacy zestrzelili napewno jeden Me 109 bez strat własnych.

—Rząd R.P. uznał nowy rząd argentyński pod kierownictwem gen. Ramireza.

—W nocy z 11/12 polskie dywizjony bombowe brały udział w bardzo silnym nalocie na Düsseldorf. Wszystkie polskie załogi powróciły.

12 *czerwca: Wyspa Lampeduza, druga po Pantellarii ufortyfikowana baza włoska na Morzu Śródziemnym poddała się po wielogodzinnym bombardowaniu z powietrza.*

—Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały dwukrotnie wyprawy bombowe nad celem, bez strat.

—Polskie załogi "Mosquito" wykonały dalekie loty patrolowe.

13 *czerwca: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę myśliwców bombardujących. Wszyscy piloci powrócili.*

14 *czerwca: Święto sztandaru U.S.A. obchodzone uroczyście w tym roku jako święto wszystkich Narodów Sprzymierzonych. Na uroczystościach w Londynie Polskie Siły Zbrojne reprezentował Minister Obrony Narodowej gen. dyw. Marian Kukiel.*

Nowości lotnicze

BOMBARDOWANIE NIEMIEC

Nie można zupełnie dziwić się Niemcom, że są nieco przestraszeni niespodziewanym, zbyt bujnym rozkwitem ich własnych idei i sposobów używania lotnictwa bombardującego. Gdyby naziści, zamiast wyklinać Goethego z literatury niemieckiej, czytali go uważnie, prawdopodobnie zastanowiłby ich los ucznia czarnoksiężnika. Może zastanowiwszy się chwileczkę i wziąwszy później ołówek do ręki zestawiliby porównawczo potencjały: własny i brytyjski w połączeniu z amerykańskim. I może dziś nie potrzebowaliby zwracać się do państw neutralnych z apelem o interwencję, by zaprzestano "niepotrzebnej," "barbarzyńskiej walki z bezbronnymi kobietami" — bombardowania. Niestety, miotła zaklęta i puszczona w ruch — nie chce się zatrzymać. Łzy krokodyle są tylko łzami krokodyla i niczym więcej, choć je wylewają neutralni. Obliczenie Niemców jest tak proste — że po prostu aż naiwne. Wstrzymanie bombardowania, może tylko Niemcom przynieść pożytek. Główny atut: groźba bombardowania Wielkiej Brytanii, nie chwyta u Brytyjczyków. Rozumują bowiem słusznie, że jeżeli w chwili największego rozkwitu niemieckiej potęgi lotniczej, a słabości RAF'u nic się złego ani Wielkiej Brytanii, ani moral ludności nie stało, dlaczego miałoby się stać dziś, gdy sytuacja jest odwrotna.

LOTNICTWO PRZECIW OKRĘTOM PODWODNYM

Nie tylko na lądzie sprawy nie idą po myśli Hitlera, lecz także i na morzu. Walka okrętów podwodnych zaczyna dawać coraz skromniejsze rezultaty. Przyczyną są nie tylko nowe okręty i szereg wynalazków stosowanych w walce przeciw *U-Bootom* przez zjednoczone marynarki, lecz także znacznie szersze i wydatniejsze użycie lotnictwa do celów tej walki. W rzeczy samej zadanie lotnictwa nie ogranicza się obecnie jedynie do patrolowania i wykrywania okrętów podwodnych, lecz także do zwalczania ich i niszczenia. Samoloty są już zaopatrzone w najgroźniejszą broń dla okrętów podwodnych — w bomby głębinowe. W ten sposób z biernego, samolot zamienił się na aktywny i to bardzo wydajny środek walki. Umieszczenie samolotów na wszystkich statkach eskorty konwoju, a co ważniejsze zastosowanie na szerokim oceanie helikopterów, uzbrojonych również w głębinówki, rozszerza jeszcze bardziej zadania lotnictwa na morzu, wysuwając je na czoło nowoczesnej taktyki morskiej.

STRATY WIĘKSZE NIŻ PRODUKCJA

Przypatrując się z kolei temu, czego Niemcy dokonali w dziedzinie lotnictwa, podzielamy całkowicie ocenę znawców i obserwatorów neutralnych. Coraz częściej spotykamy się wśród nich ze zdaniem, że Niemcy znajdują się raczej na linii schyłkowej swej produkcji twórczej, zadawalając się jedynie rozwijaniem dawnego sprzętu. Jest to coprawda sprzęt wcale niezły i zupełnie nowoczesny, lecz jest go niezbyt wiele. Straty niemieckie są większe niż produkcja. Straty zaś ostatnio były olbrzymie, nie tylko na rosyjskim froncie, lecz także, przede wszystkim może, w Tunisie. Nie licząc zestrzelonych, Niemcy stracili w ostatniej fazie kampanii 558 samolotów pozostawionych na ziemi, w stanie mniej lub więcej nieuszkodzonym.

To w dużej mierze tłumaczy fakt, że opór Niemców i Włochów przeciw Tedderowi był tak słaby i jeszcze w tej chwili, gdy to piszemy, nie zdołał się ustabilizować do tego stopnia, by naprawdę utrudnić działania powietrzne Sprzymierzonych na morzu. Nawet tam, gdzie opór być powinien, to znaczy nad miejscami koncentracji floty włoskiej, amerykańskie fortece latające nie napotkały znaczniejszego oporu, uzyskując znakomite rezultaty. W Spezii przychwyciły trzy krążowniki klasy Littorio i w ciągu sześciu minut okładały je bombami, przy zupełnie znikomych stratach własnych.

Włochy, jak już to nieraz podkreślaliśmy na tym miejscu, poszły złą drogą jeśli chodzi o rozwój floty. Licząc wyłącznie na lotnictwo lądowe, nie produkowały zupełnie lotniskowców. Dziś płacą gorzkie frycowe /zresztą nie oni jedni/, okazało się bowiem, że lotniskowce są potrzebne nie tylko na oceanach, lecz, co dobrze Polacy powinni wbić sobie w pamięć — także i na morzach zamkniętych . . .

Lądowanie Amerykanów na wyspie Attu wskazuje, że wojna na północnym Pacyfiku zaczyna przybierać na natężeniu. Kwestia Aleutów łączy się bezpośrednio zarówno z pomocą dla Rosji, jak i możliwością uzyskania baz lotniczych przeciw Japonii. Sukcesy Amerykanów na Attu są wynikiem doskonale zgranych działań morsko-lądowo-lotniczych. W każdym razie bez lotnictwa, bez lotniskowców, działania te nie dałyby rezultatów tak szybkich w czasie i niewątpliwie byłyby połączone z bardzo bolesnymi stratami w ludziach i materiale.

ZESTAWIENIE STATYSTYCZNE

Na zakończenie podamy tabelkę strat lotnictw Sprzymierzonych i lotnictwa niemieckiego, dla celów porównawczych. Otóż od początku wojny do dnia 5 czerwca straty te przedstawiały się w sposób następujący:

Straty Luftwaffe:	
Na Zachodzie:	6.971
Na Środkowym Wschodzie:	5.343
Północno-zach. Afryka:	1.950
Straty RAF i US Air Forces:	
Na Zachodzie:	6.241
Na Środkowym Wschodzie:	2.095
Północno-zach. Afryka:	719

W powyższej tabelce objęte są jedynie straty Luftwaffe stwierdzone jako pewne i bezwarunkowe. Przypominamy zasadę, że przeciętnie na jeden zastrzelony wypadają dwa uszkodzone, których nie bierze się przy obliczeniach tego rodzaju pod uwagę.

Nadto pokreślamy, że straty Luftwaffe podane tutaj nie obejmują ani strat w Polsce, gdyż ustalić ich dokładnie cyfrowo nie można, ani w Rosji, gdyż Rosjanie przy podawaniu cyfr strat niemieckich czy własnych kierują się innymi kryteriami oceny niż Brytyjczycy.

M. J. GORDON

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Gdy dzień się zbliża

RACHUNEK SUMIENIA

Niebawem kończy się trzeci rok i zaczyna czwarty pobytu polskich Sił Zbrojnych na wyspach brytyjskich. W tę pamiętną rocznicę czerwcową, każdy z Polaków, powinien spojrzeć wstecz za siebie.

Taki rachunek sumienia obowiązuje nie tylko jednostki. Obowiązuje także każdą grupę ludzi, pracujących w jednym zespole organizacyjnym. Do raportu przed najsurowszym ze wszystkich sędziów świata, wyrokującym bez miłosierdzia, przed Historią, staną także poszczególne człony Polskich Sił Zbrojnych: Wojsko, Marynarka, wreszcie — Lotnictwo.

Wojsko będzie mogło odpowiedzieć, że ucząc się nowoczesnych metod walki, poczyniło przygotowania nie tylko do rozprawy z wrogiem, lecz równocześnie przygotowało kadry organizatorów nowej Armii Niepodległej Polski.

Marynarka powoła się na nieśmiertelne wyczyny "Orła," "Wilka," "Błyskawicy," "Garlanda" i innych okrętów polskich. Wykaże się nieprzerwanym łańcuchem walk, rozszerzeniem kadr, powiększeniem ilości jednostek pływających, mimo strat, które poniosła.

Teraz kolej na lotnictwo. Wie się więcej o tym, co lotnictwo dotychczas zrobiło na placu boju, niż co uzyskało w przygotowawczej pracy do pokoju. Na ten temat krążą rozmaite pogłoski, zarówno niepokojąco dodatnie, jak i niebezpiecznie ujemne. Spróbujemy w sposób bezstronny i spokojny rozważyć, co Historii odpowie lotnictwo polskie, działające w ramach R.A.F., jako P.A.F. czyli *Polish Air Force*.

Nie ulega wątpliwości i tego zresztą nikt w wątpliwość nie podaje, że lotnictwo walczy i składa wielkie ofiary, większe liczebnie i procentowo od innych rodzajów broni. Wysoka jest cyfra strat w zabitych, rannych, tych w niewoli i zaginionych. Ciągle jeszcze krew lotnicza spływa na szalę naszych wkładów w wspólny wysiłek Sprzymierzonych, na szalę "*ma*." Waży wiele, a ważyć będzie jeszcze więcej na konferencjach pokojowych, szczególnie ta już zczerniała i ścięta, którą zrosiły się pola Sussexu, Surrey, Kentu czy Devonu w czasie *Battle of Britain*.

Ktoś zapyta pewnie: czegóż można więcej żądać od człowieka, niż ofiary krwi? Od człowieka napewno nie, lecz jednostka jest tylko małą komórką całości. W walce bezpośredniej bierze udział jedynie maleńka garstka wielkiego *teamu* lotniczego. Wobec tego w stosunku do całości muszą być stawiane żądania sięgające daleko za ofiarę krwi. Są one liczne, lecz w zasadzie sprowadzają się do jednego tylko zagadnienia: przygotowania przyszłości lotniczej w wolnym kraju, w nowej Europie, w nowym ładzie powojennego świata.

LOTNICTWO PRZYSZŁOŚCI

Lotnictwo dzisiaj, to nie tylko b r o ń przyszłości w ramach odrodzonych Sił Zbrojnych, lecz i cała przyszłość narodu, lecz i jego miejsce pod słońcem. Lotnictwo stało się dziś czynnikiem nadrzędnym, elementem, na którym przyjdzie budować tę przyszłość w świecie i ten nowy ład. Z chwilą bowiem, gdy lotnictwo zapanowało nad morzami — ziemia i jej mieszkańcy weszli w nową erę historyczną, w nową epokę. Pierwszą otwarły światu bite gościńce Rzymian, wielkie szlaki bursztynowe i drogi kupców wschodnich przez Pustynię Syryjską. Drugą — okręty hiszpańskie, holenderskie czy portugalskie galeony. Symbolem i treścią trzeciej, będą szlaki powietrzne opasujące całą kulę ziemską.

W Wielkiej Brytanii znalazło się całe nasze lotnictwo wojenne. Powie ktoś: cóż ma lotnictwo wojenne ze światem powojennego, pokojowego rozwoju?

Po pierwsze wraz z lotnictwem wojennym w mundurach tego lotnictwa, znaleźli się tutaj przedstawiciele wszystkich branży lotnictwa i służą dalej w jego szeregach.

Po drugie: nie ma i nie będzie różnicy między lotnictwem wojennym a cywilnym. Nawet dyletant dostrzeże różnicę jedynie w konieczności opanowania przez załogi bojowe drobnych szczegółów technicznych walki. Poza tym latanie jest jedno. Urządzenia lotniskowe, główne zasady ruchu, łączność i nawigacja są te same. Nie ma różnicy między pilotem wojennym a cywilnym, nie ma różnicy między nawigatorami, nie ma różnicy między samolotami i te same fabryki będą dostarczały tych samych typów lotnictwu wojennemu i liniom lotniczym. Kiedyś zresztą ten sam bombowiec, który walczył nad Dortmundem czy Kilonią będzie zamiast bomb wiózł ładunek towaru i pasażerów, a myśliwiec zamiast karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych — pocztę kurierską i drobny a cenny fracht.

To też przygotowanie i wyszkolenie personelu jest również szkoleniem i przygotowaniem kadr przyszłego lotnictwa cywilnego. Tym bardziej staje się to jasne i oczywiste, gdy tylko uświadomimy sobie, że zarówno lotnictwo wojenne, jak i cywilne znajdzie się z całą pewnością w jednej organizacji związkowej czy to międzynarodowej, czy nawet wszechświatowej z chwilą, gdy zostanie ogłoszona wolność powietrza.

Lotnictwo wojenne — to przyszła policja bezpieczeństwa nad ziemią; lotnictwo cywilne — to dział komunikacji stałych. Instytucje ziemne będą zaś zawsze wspólne i pod jednym kierownictwem, gdyż nikt na świecie nie będzie w stanie budować na jednym terenie dwóch równoległych, niezmiernie kosztownych instalacji. Z tych samych względów i sieć łączności będzie jedna przy stałej wymienności personelu. Piloci lotnictwa wojennego, czy policyjnego po wysłudze lat będą przechodzić do komunikacji, gdy znowu komunikacja będzie dbała o kadry techniczne całości. Jedne więc będą szkoły pilotażu i specjalności.

Z tego a nie innego punktu widzenia rozpatrywać musimy wszelkie zagadnienia lotnicze szczególnie gdy pytamy: co zostało zrobione w przeciągu trzech lat pobytu na wyspie?

DOROBEK R.A.F.'U

Już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że dorobek jest duży. Naturalnie odbiega znacznie od *wishful thinking* tych, którzy — jak mówi Churchill — mają czas na snucie planów. Każdy krok naprzód naszego lotnictwa w ostatnich 3 latach był wywalczony bojem z tysiącami drobnych trudności i przede wszystkim walką z realnością porządku potrzeb, jaki stwarza wojna. Trzeba bowiem mieć to w pamięci, iż lotnictwo polskie nie przybyło na wyspy Brytyjskie dla celów szkolnych, lecz by się bić. Samo to założenie, wynikające znowu z prostych konieczności, narzuciło wszelkim schematom organizacyjnym kierunek specjalny. Jeżeli zaś ponadto weźmie się pod uwagę przymusową ewakuację z Francji, ciężkie warunki, jakie znaleźli nasi lotnicy w Wielkiej Brytanii /odmienność języka i odmienność organizacji/, wreszcie nakaz natychmiastowej walki, a więc i improwizowania — dojść musimy do przekonania, że na rozwój naszego lotnictwa miały wpływ przede wszystkim wypadki, a potem dopiero ludzie.

Pierwsi lotnicy polscy przybyli tutaj jeszcze w 1939 roku, po powziętej decyzji, że lotnictwo bombowe polskie będzie się reorganizowało w Wielkiej Brytanii, a tyły i lotnictwo myśliwskie we Francji. Gdy ewakuowani z Francji w 1940 roku lotnicy polscy wylądowali w Anglii znaleźli swych kolegów jeszcze w szkołach i to — w pierwszym stadium szkolenia. Nastąpiło wielkie rozczarowanie, gdyż każdy zamiast lecieć na bój poszedł do Blackpool'u uczyć się angielskiego. Jednak co prawda nie na długo.

Nie było w tym złej woli Anglików, bynajmniej. Wielka Brytania nie rozkręciła jeszcze ówczas swej gospodarki wojennej. Ze sprzętem nawet wyszkoleniowym, było nad wyraz słabo. Szkoły były nieprzystosowane do wielkiego napływu rekruta i szły dawnym, pokojowym, arcyprzydługim w czasie porządkiem. Reorganizowano wszystko, robiono próby na wszystkie strony. Szukano wyjścia z ciągle jeszcze trwającego "*lull*"u pokojowego. A wszystko to działo się w chwili, gdy front skacząc w stumilowych butach w niespełna trzy tygodnie przesunął się z nad Renu pod Londyn. Nasza sytuacja w tym wszystkim streszczała się w faktach: umowa była niepodpisana, a co najważniejsze — lotnicy nasi nie mówili po angielsku, co przy systemie łączności lotniczej w powietrzu i na ziemi po prostu nie pozwalało na użycie ich w walce, ani do czego innego.

Mało kto wie, że podpisanie umowy jeszcze przed ewakuacją z Francji natrafiało na duże trudności. Jedną z zasadniczych była ustawa, nie pozwalająca na formowanie lub pobyt żadnych oddziałów obcego państwa na Wyspach Brytyjskich bez zgody Parlamentu. Tymczasem Parlament nie śpieszył się a czas uciekał. I to właśnie zmusiło poszukiwać wyjścia w włączeniu polskich lotników w Anglii do R.A.F.'u w charakterze *V.R. Voluntary Reserve*, ochotników. Dopiero przymusowe przybycie wielu oddziałów cudzoziemskich na teren brytyjski przyśpieszyło zasadnicze załatwienie sprawy.

Lecz i tak w dalszym ciągu nasza sytuacja była niewesoła. Kadry dowódcze nie były przygotowane do dowodzenia w zespole angielskim, dalej: lotnictwo polskie znalazło się — bez tyłów. W tym wypadku połączenie z R.A.F.'em było koniecznością życia tym bardziej, że sytuacja wojenna stawała się z dnia na dzień bardziej krytyczna i trzeba było zrezygnować z formalności ambicyjnych, by jak najśpieszniej pomóc naszemu sprzymierzeńcowi na polu walki.

Nadpływający personel został szybko podzielony na trzy części: gotowy do natychmiastowego użycia, do użycia po krótkim przeszkoleniu i wreszcie ten, który do użycia musi być przeszkolony od początku. Co nie mieściło się w powstających dyonach polskich, a było jako tako gotowe, to znaczy umiało latać i coś niecoś, trzy po trzy, bąkało po angielsku — szło do dywizjonów angielskich, by się bić. Jakże mało załóg miała wtedy Wielka Brytania. Jak dalece słuszne były słowa Churchilla, że nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tyle, tak nielicznym— to dopiero odsłoni kiedyś historia.

PO BATTLE OF BRITAIN

Walki 1940 i 1941 nadszarpnęły mocno naszymi stanami. Trzeba je było na gwałt uzupełniać, przy równoczesnym formowaniu coraz to nowych jednostek bojowych. O organizacji tyłów, rzecz jasna nie było mowy. Piloci niebojowi porozprowadzani zostali tam, gdzie się mogli przydać, przede wszystkim do fabryk, by dostawiać sprzęt do jednostek bojowych. Równocześnie trzeba było pośpiesznie formować lotnictwo współpracy dla naszego wojska, które, jako tako z grubsza przygotowane, znalazło się na kluczowych pozycjach obronnych w Szkocji.

Konieczność uzupełnienia stanów bojowych i konieczność przeszkalania mechaników w nowym sprzęcie zadecydowały o jednym: o konieczności stworzenia pierwszych szkół pilotażu, szkół nawigacji, szkół technicznych. Początkowo formowano je pod dowództwem angielskim. W miarę napływu polskich instruktorów, kolejno Polacy obejmowali poszczególne przedmioty. Wreszcie powstały osobne szkoły, o polskim języku wykładowym, z polskimi podręcznikami.

Rok 1941 przyniósł ustalenie sytuacji i przyszłość zaczęła wyglądać mniej groźnie. Jednak w lotnictwie stan rzeczy nie uległ zmianie. Tyły miał R.A.F. Polacy pełnych tyłów nie byli w stanie tworzyć. I tak na przykład dla prostego wyszkolenia ludzi w systemie łączności, na wyższych niż radiotelegrafiści szczeblach brak nam było dostatecznie wyszkolonych kadr, szczególnie oficerskich. To co nazywaliśmy w Polsce łącznością lotniczą, z czego zresztą /bardzo niesłusznie/ byliśmy przesadnie dumni, było tylko ułamkiem wiedzy o tym, co dziś nazywa się organizacją łączności lotniczej, a bez czego w ogóle nie można prowadzić wojny w powietrzu. Tymczasem potrzebni oficerowie byli — lecz w wojsku a wojsko też potrzebowało tych specjalistów, przechodząc właśnie na organizację jednostek pancerno-motorowych, które wymagają niesłychanie precyzyjnej sieci łączności.

Ponadto w innych działach technicznych postęp dwóch lat był po prostu rewolucją. Gdy my przywieźliśmy ze sobą zróżniczkowanych mechaników i techników kilkunastu specjalności, Anglicy rozróżniali ich już przeszło — sto. Każda wymagała osobnego przeszkolenia i osobnych szkół. W dziale niektórych specjalności trzeba było po prostu zaczynać od początku. A tu należało opanować wszystkie, bo wszystkie w przyszłości miały być niezbędne. Rozbudowa tyłów do istniejącego stanu bojowego wymagała wobec tego tak olbrzymiej ilości ludzi, że sprawa wyglądała dość beznadziejnie. Na jednego członka załogi bojowej w tej olbrzymiej organizacji, którą się nazywa lotnictwem bojowym, pracuje dziś nie licząc produkcji, 23, słowami: d w u d z i e s t u   t r z e c h   l u d z i !

Tymczasem lotnictwo polskie oderwane od swych naturalnych uzupełnień, rozporządzało kadrą sztywną, cyframi, poza które żadną miarą nie można było wyjść. Straty były duże, potrzeby rosły a uzupełnienia, czy to kosztem wojska, czy z nadpływających "turystów," czy z ochotników amerykańskich, czy wreszcie żołnierzy przybyłych z Rosji — były niedostateczne, by zapewnić pokrycie wszystkich potrzeb i rozbudowę tyłów.

Znów przytoczymy cyfry, które nie zdradzając tajemnicy wojskowej dadzą pewien obraz. Otóż w normalnej organizacji lotnictwa stosunek jednostek bojowych i szkolnych stoi w pewnej proporcji do tego personelu, który zapewnia poza dywizjonami naprawy, zaopatrywanie, oraz obsługuje szereg niezmiernie ważnych działów jak n.p. sieć obserwacji przeciwlotniczej czy służbę meteorologiczną. Proporcja ta jest probierzem, czy organizacja jest dobra i powinna wyrażać się cyframi 1:1. Oznacza ta, że na każdego członka personelu oddziałów bojowych i instytucji szkolnych wypada jeden człowiek organizacji tyłowych. Jednak w lotnictwie polskim w Wielkiej Brytanii proporcja jest całkowicie odmienna. Ze zrozumiałych względów nie możemy jej podać, możemy tylko zapewnić, że cyfra jest nieproporcjonalnie wysoka po stronie oddziałów bojowych i szkolnych.

Jednak stosunku tego w żaden sposób zmienić nie można. Niestety przy sztywnych stanach, spowodowanych niedostatecznym uzupełnieniem, potrzeby bojowe zawsze będą przygniatać tyły i spychać je na plan drugi. Załatwienie sprawy jest tylko jedno, lecz na nie żaden z lotników myślących serio nigdy się nie zgodzi. Jest to zlikwidowanie stanów bojowych do minimum na korzyść tyłów. Wtedy, nie mając w dalszym ciągu pełnych tyłów, równocześnie zredukowalibyśmy rolę naszego lotnictwa w zespole wkładu Sprzymierzonych do roli jaką odgrywa armia i lotnictwo, niektórych innych aliantów. Byłoby to rozwiązanie nad wyraz niebezpieczne.

Mimo tych trudności lotnictwo przecież jednak organizuje tyły, powoli, ale organizuje. Nim we wrześniu 1942 ostatecznie ukończono organizację szkolnictwa lotniczego, czyniąc zadość nie tylko potrzebom aktualnym a więc bojowym, lecz także dbając o zabezpieczenie dobrego kadrowego materiału na przyszłość dla dalszych potrzeb wojennych i pokojowych — już sprawa tyłów stała się aktualna. W marcu 1942 powstają pierwsze polskie instytucje tyłowe, obsługujące polskie jednostki frontowe. Tworzy się podstawy do formowania dalszych.

Rzecz jasna stan naszych szeregów i obliczenia na przyszłość, jeżeli o uzupełnienia chodzi — musiały wytyczyć polityce rozwoju lotnictwa polskiego pewne drogi, którymi musi kroczyć. Ogólną zasadą kierującą tymi pracami stało się hasło: uczyć się wszystkiego, by móc uczyć innych i przystosowywać nabytą teorię i praktykę do potrzeb przyszłości. Przede wszystkim zarysował się szereg działów, które absolutnie i to jak najprędzej, choćby kadrowo należało przygotować.

Do takich n.p. należał wspomniany poprzednio olbrzymi dział łączności. Wyłoniły się już przedtem także inne zagadnienia zasadnicze: choćby jak szkolenie dowódców niższych i wyższych w oparciu tego szkolenia o doświadczenia bojowe. Wreszcie tak ważne i zasadnicze zagadnienia przyszłościowe, jak przygotowanie zespołów lotnictwa transportowego i komunikacyjnego na pierwszy okres po zawieszeniu broni, czy studia nad uruchomieniem przemysłu lotniczego w odzyskanej Polsce. Wymieniam tylko niektóre z zagadnień. Proste wymienienie już wskazuje, jak olbrzymią jest ich skala i jak ciężkie zadania poza bojem i walką stoją ciągle przed naszym lotnictwem na tutejszym terenie.

A teraz dochodzi do tego jeszcze wielki dział naukowy. Pokrywa on wachlarz spraw od studiów organizowania produkcji po wszelki eksperyment konstrukcyjny.

Nie wolno wymieniać szczegółowo tego wszystkiego, co lotnictwo zyskało w rezultacie swych usiłowań. Jednak można powiedzieć, że w miarę możliwości prace potrzebne lotnictwu polskiemu w przyszłości, są robione i żaden dział nie został zapomniany.

Gwarancją tak pozytywnego twierdzenia jest nie tylko dobra wola i chwalebna inicjatywa naszych specjalistów, lecz także niezwykłe zaufanie, z jakim Brytyjczycy odnoszą się do Polaków, dopuszczając ich bez ograniczeń do całości dorobku techniki brytyjskiej. Pozwala to także przypuszczać, że w przyszłości nasz już uruchomiony przemysł stanie od razu na wysokim poziomie i dzięki nawiązanym kontaktom, ten poziom i na przyszłość utrzyma. Współpraca z R.A.F.'em i odgałęzieniami R.A.F.'u jest niezwykle głęboka i ścisła. Spowodowała ona bardzo gruntowną rewizję naszych dotychczasowych pojęć i usiłowań.

NA PROGU POKOJU

Przyszłość lotnicza Polski w nowym świecie powojennym zarysowuje się niezwykle poważnie. Pierwszym a zasadniczym czynnikiem tej przyszłości jest dogodne geograficzne położenie Polski w Europie. Polska jest położona na pomoście między Wschodem a Zachodem, kto wie, czy niebawem nie będzie to pomost o czterech twarzach Światowida? W każdym razie przyszłe szlaki komunikacyjne opasujące ziemię równoleżnikowo, przecinają się z najważniejszymi szlakami przyszłości biegnącymi po południku nie gdzieindziej, niż w Polsce.

W każdym razie komunikacje Wielkiej Brytanii z jej dominiami na Wschodzie jak i na Południu powinny biec przez Polskę. To samo już stwarza w politycznym ustroju powojennym konieczności bardzo ścisłego współżycia. Trzeba przy tym pamiętać, że choć powietrze jest szerokie, a miejsca w nim dużo, to jednak powietrzne szlaki komunikacyjne są tak samo zależne od warunków, które narzuca przyroda jak szlaki morskie czy lądowe. W konsekwencji są stałe i niezmienne w przestrzeni.

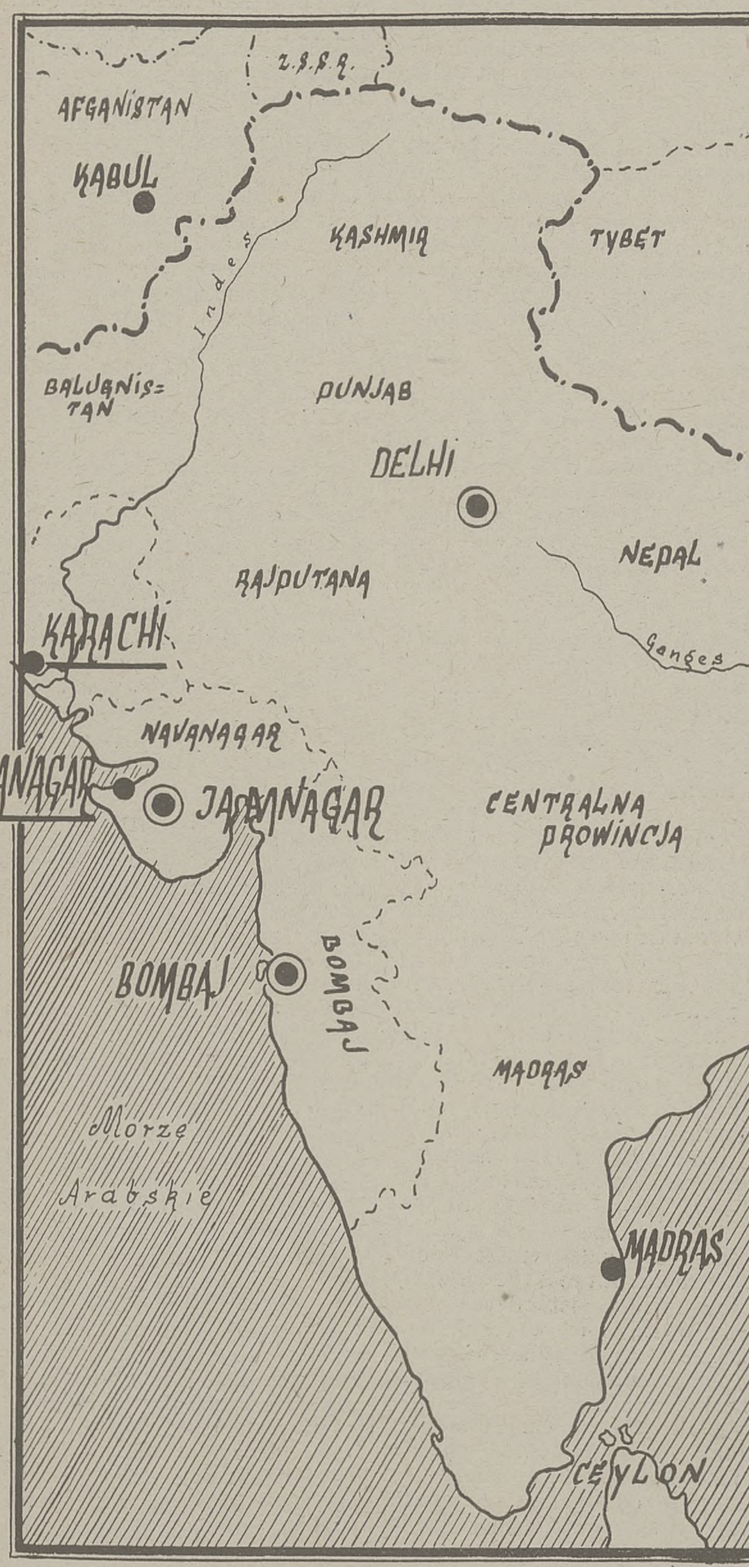
Z takiego polskiego stanu rzeczy zdają sobie doskonale sprawę ci, którzy myślą o przyszłości świata. Dlatego już dzisiaj w posunięciach niektórych wielkich potęg można odczytać wiele rzeczy, może dla wtajemniczonych niezupełnie zrozumiałych, lub inaczej tłumaczonych. Sprawa naszych granic wschodnich oglądana przez szkła lotnicze, nabiera o wiele głębszego, znaczenia — nie tylko strategicznego, czy narodowościowego. Przede wszystkim ta sprawa z punktu przyszłości nie wydaje się tylko sprawą polsko-rosyjską.

Jedno jest pewne jeżeli o polskie lotnictwo i naszą politykę chodzi: nie wrócimy, bo wrócić nie możemy do organizacyjnego stanu rzeczy z przed 1939 roku. Nie wróci zresztą żadne z państw.

Nasza przyszłość lotnicza oparta jest także w znacznej swej części na obecnym korpusie lotniczym. Wydaje się, że ten korpus na wszystkich szczeblach spełnił jednak swe zadanie nie tylko na placu boju. Piszę: korpus, gdyż lotnictwo, to nie poszczególni ludzie, lecz całość od najwyższych do najniższych. Ten korpus i jego duch daje pełną gwarancję, że dorobek lat bieżących będzie nie tylko utrzymany, lecz i pomnożony.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

NA TUŁACZYCH SZLAKACH: POLACY W INDIACH



Dwie pokreślone na tej mapie miejscowości wskazują miejsce pobytu Polaków w Indiach

Księstwo Navanagar jest położone na zachodnim brzegu półwyspu Indostan. Jest to wasalne księstwo Imperatora Indyj, Króla Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii. Stolicą tego księstwa jest miasto Jamnagar. Obecnie panujący w tym księstwie zwie się: Maharadża Navanagaru — Jego Wysokość Jam Saheb.

Tu właśnie znaleźli gościnny przytułek, serdeczną opiekę i chrześcijańskie miłosierdzie dzieci zmarłych i przebywających jeszcze w Rosji rodaków, które przez te — tak odległe kraje — zdążają do swej ojczyzny. Tym dzieciom z Polski — przedmurza chrześcijaństwa — pierwszą pomoc okazali wyznawcy Mahometa w Iranie oraz w Iraku, a następnie część ich doznała bezinteresownej opieki od wyznawców Brahmy i Buddy. Zaiste — Bóg jest jeden.

Kraj księcia Jam Saheba . . . Jak oko sięga — step, pokryty pożółkłą, złocistą trawą. Na północy majaczą fioletowo-szare góry — nieodzowne tło każdego krajobrazu Indyj. Z trawy wydostają się pojedyncze, rosochate drzewa, kępy krzewów, a czasami dość obszerne zarośla. Tak pokryte roślinnością połacie zwą się dżunglą. Wioski, uprawne pola przy nich, nadbrzeżne łąki, rzeczki nieraz pokryte trzciną do 5 — 7 metrów wysokości, stada ogromnych, lecz łagodnych bawołów zanurzonych po szyję w wodzie i drzemiących w tej pozycji, oraz malownicze plantacje bawełny, bananów, i trzciny cukrowej — to obraz olbrzymiego kraju, ciągnącego się hen pod Himalaje i do Burmy, w którym mieszczą się dziesiątki takich państw i żyją setki szczepów. Poza tym wszędzie i niepodzielnie panuje tu dżungla. Czasami, jak w zachodniej części księstwa Navanagar, jest ona mniej zadrzewiona i zakrzaczona. Czasami — w pobliżu większych rzek i jezior — przeistacza się w splątany kołtun roślinności.

Taki oto step—z rzadka porośnięty biegnie od Morza Arabskiego, obejmuje miasto Jamnagar i ciągnie się po z lekka falistej równinie ku grzbietom na północy. Na nim w odległości jednej mili od morza i 15 mil od Jamnagaru — jest położony Polski Obóz dla Dzieci. Obóz przybrał kształty małej osady, nazwanej Kiranagar.

Nazwa jest niefortunna, bo utworzona z połączenia imienia małżonki jednego z wysokich urzędników polskich — Kira — z wyrazem hinduskim "nagar," co oznacza miasto. Nazwa ta, która Hindusom nic nie mówi, zachowa się wraz z osiedlem na zawsze. Po nas, gdy wyjedziemy — nie pozostanie ślad, pozostanie jednak nazwa polskiego grodu, zagospodarowanego przez Polaków i upiększonego rękami polskich dzieci. Czy nie lepiej było nazwać tę — obecnie polską osadę — "Polonia" albo jakoś podobnie, byle istotnie. Mimo woli nasuwają się słowa Ignacego Chodźko: "Zawsze i wszędzie trapi nas nieustannie toż samo bałwochwalstwo imion i osób."

Niestety — stało się. A zatem Kiranagar. Osada ma 50 budynków, przeznaczonych dla dzieci i kilkanaście małych domków dla dorosłych. Miejsce pod osadę zostało wybrane dobrze. Do morza, a właściwie do pięknej zatoki Gutch jest niedaleko. Klimat w zimie jest łagodny, temperatura jest taka, jak u nas w czerwcu. W lecie nie ma tych zabójczych upałów, jakie panują w Iranie, a zwłaszcza w Iraku. Domy są murowane, kryte dachówką, co sprawia wielką ulgę w czasie, bądź co bądź indyjskiego lata. Każdy budynek przeznaczony dla dzieci z łatwością może pomieścić ponad 30, a mieści tylko do 20 dzieci. Na ciasnotę więc nikt nie narzeka. Mieszkalnych budynków jest 25.

Druga połowa mieści: świetlicę dla dzieci, kościół, szkoły, sale jadalne, magazyny, szpital, pralnie, kuchnię, i t.d. Jest nawet "klub" dla personelu kierowniczego i nauczycielskiego obozu, posiadający pianino — dar księżnej Navanagaru, w którym odbywają się przedstawienia teatralne zespołu amatorskiego. Osada posiada także kantynę, w której są sprzedawane przedmioty pierwszej potrzeby, po cenach zniżonych. Można tam nabywać owoce, nadsyłane bezpłatnie z ogrodów księcia.

W osadzie i w jej najbliższym pobliżu odbywa się intensywne zadrzewianie. Jako regułę przyjęto: każdy członek osady zasadza jedno drzewko a następnie dogląda go. Sadzi się szybkorosnące drzewa i krzewy owocowe, a także banany i papuje. Wszystkie sadzonki zostały dostarczone z ogrodów maharadży.

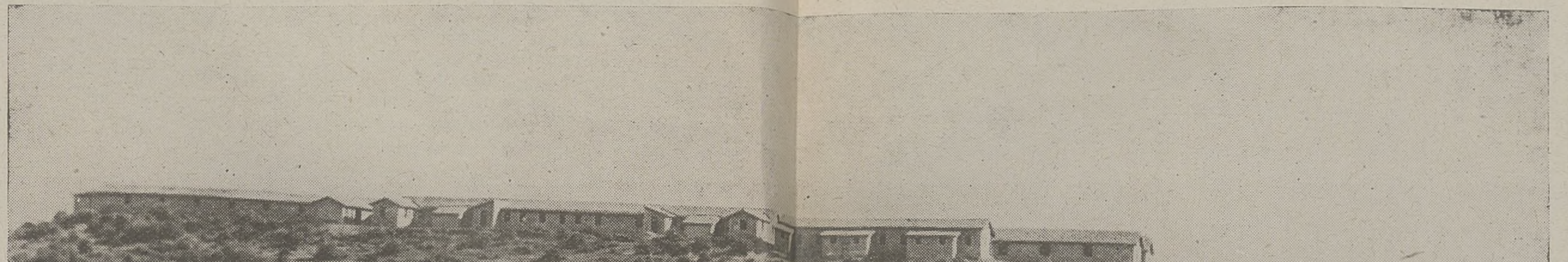
Jeżeli idzie o skład polskiej osady to przedstawia się on następująco. Dzieci jest ponad tysiąc. Dorosłych — około czterdzieści. Dzieci są w wieku od 3 do 16 lat. Książę Navanagaru po przybyciu tego transportu i po przyjrzeniu się mu, wyraził zgodę na przyjęcie do swego państwa dalszych 5000. Wtedy władca sąsiedniego księstwa Patiala także wyraził chęć ulokowania na swym terenie następnych 5000. Niestety względy klimatyczne nie pozwoliły na skorzystanie z tej ostatniej propozycji.

Natomiast w prowincji Kolchapur za zgodą Rządu Indyjskiego jest zakładany obecnie wielki obóz na kilka tysięcy dzieci. Taki bowiem kontyngent naszej dziatwy jest przewidywany do ewakuacji z Iranu. Dalszy spodziewany dopływ małoletnich obywateli polskich z ZSRR do Iranu z przyczyn powszechnie znanych — niestety ustał. Więc na tych dwóch obozach: w Navanagar i projektowanym w Kolchapur, trzeba będzie tymczasem poprzestać.

Ciężko więc nam idzie z tą milionową masą zakładników ze "słowiańskiego" kraju. Natomiast dzieje polskiego "dziecięcego" uchodźstwa w Indiach są proste i nieskomplikowane. Zrazu Rząd Indyjski wyraził zgodę na przyjęcie jednego tysiąca dzieci — na pełne utrzymanie. W tym celu zawiązał się w stolicy Indyj, Delhi komitet pod przewodnictwem Vice-Króla. Zadaniem komitetu było zdobycie potrzebnych funduszów na utrzymanie naszych dzieci. Następnie jednak, prawdopodobnie w związku z trudnościami natury finansowej — decyzja ta uległa zmianie. Komitet postanowił zwrócić się do Rządu Polskiego z propozycją pokrycia brakujących kwot. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej natychmiast wyraziło zgodę i podpisało odpowiednią gwarancję. Przy dalszych pertraktacjach, gdy się wyłoniła nadzieja, że następne transporty będą nadchodziły bez przeszkód, Rząd Indyjski wyraził zgodę na umieszczenie 10,000 dzieci pod warunkiem jednak, iż zasadnicze utrzymanie tej liczby weźmie na siebie Rząd Polski. Min. Pracy i Opieki Społecznej i tym razem niezwłocznie wyraziło zgodę składając pisemną deklarację. Niestety dalsza wymiana zdań z powodu urwania się dopływu dziatwy z ZSRR stała się bezprzedmiotowa.

Jam Saheb — Maharadża Navangaru





Osiedle Kiranagar — miejsce pobytu dzieci polskich w Indiach

Zapoznajmy się z życiem tych, którym się udało uratować przed powolnym konaniem. Tysiąc dzieci znajdujących się w Kiranagar jest pod opieką fachowego personelu kierowniczego i nauczycielskiego. Wszystkie dzieci są ujęte w klasy odpowiadające dawnym oddziałom szkół powszechnych i początkowym klasom gimnazjalnym. Dzieci poniżej lat pięciu uczęszczają do przedszkola. Poziom nauki stałby bardzo wysoko, gdyby nie fatalny brak polskich podręczników szkolnych i dobrych książek w języku ojczystym. Wydział Opieki M.P. i O.S. wysłał na teren Indyj dość pokaźną ich ilość, jednak liczba ta jest niewystarczająca. Co się tyczy przyborów szkolnych, to braki zostały w dużej mierze usunięte staraniem księżnej Navanagaru, która dostarczyła ich w wielkiej ilości. Nauka jest prowadzona w formie pogadanek, wykładów i odczytów, a także zajęć praktycznych, które można przeprowadzić przy pomocy znajdujących się do dyspozycji przyborów.

Akcja doprowadzenia kompletnie wyniszczonych w poprzednim okresie życia dzieci, jest postawiona na wysokim poziomie. Dzieci, które zapadły w ZSRR na gruźlicę, są odsyłane do sanatorium w górach. Tam opiekuje się nimi żona Konsula W.Ks. Luxemburgu, p. Van Damme — bardzo czynna członkini C.K. Poza tym wszystkie dzieci, które tego potrzebują — mają możność kuracji w solarium w pobliżu Jamnagaru, kierowanym przez światowej sławy hinduskiego lekarza dr. Mechta — specjalisty od leczenia gruźlicy. Jeden budynek tego solarium jest przeznaczony wyłącznie dla dzieci polskich. Przy pomocy Maharadży Navanagaru nabyto autobus, celem ułatwienia komunikacji. Dobry gabinet dentystyczny został założony w samym Kiranagarze. Po przybyciu dzieci na teren obozu, była to bodaj najpilniejsza potrzeba, bowiem dzieci w 90% miały chore zęby, skutkiem długotrwałego szkorbutu, nabytego w czasie przymusowego pobytu w ZSRR.

Odżywianie jest dobre. Ubój wołowiny na terenie księstwa z przyczyn natury religijnej jest surowo wzbroniony. Wołowina jest dostarczana — tak zresztą jak na cały teren Indyj — tylko dla Europejczyków, w stanie zamrożonym z Australii. Jest to więc na terenie obozu dość rzadki rodzaj mięsa. Natomiast baraniny, drobiu, ryb a zwłaszcza węgorzy, od których roi się Morze Arabskie jest pod dostatkiem. Z jarzyn przeważają: kartofle, szpinak, cebula, pomidory, sałata. Jarzynę tę można dostać tylko w porze zimowej — od listopada do lutego. W innych miesiącach wysoka temperatura jest nieodpowiednia dla uprawy. Owoce są dostępne bez ograniczenia w okresie całego roku. Najwięcej jest: winogron, jabłek, śliwek, gruszek, pomarańcz, bananów i granatów. Ananasy także nie są rzadkością i nie są zbyt drogie.

Oto jest krótki obraz życia naszych dzieci na terenie obozu. Musi im on zastąpić rodzinny dom i rodziców, których sieroty już nie odzyskają. Niemniej i tu w osobie Maharadży Navanagaru, Księcia Jam Saheb — znaleźli Polacy wielkiego przyjaciela, który robi wszystko, aby być prawdziwym ojcem naszych sierot. Tak oto ten człowiek o wielkiej duszy zakończył swe pierwsze przemówienie skierowane do naszego przyszłego pokolenia: "Bóg was wyzwolił dla Polski. Należycie do Niej. Macie możność tu pracować nad sobą i dołożyć wszelkich starań w tym kierunku. Bowiem od was zależy przyszłość waszej ojczyzny."

Na terenie Indyj już poza granicami księstwa Navanagar, w prowincji Sind jest jeszcze inny obóz polski. Jest to obóz tranzytowy, w którym zatrzymują się rodziny polskie wraz z dziećmi, przeznaczone do osiedlenia we wschodniej Afryce. Warunki transportu morskiego na skutek działań wojennych na Oceanie Indyjskim są tego rodzaju, że w Indiach jest "przesiadka" połączona z dość długim oczekiwaniem na nowy statek. Oczekiwanie to trwa czasem 2 — 3 miesięcy. To też dla "pasażerów" narodowości polskiej udających się do Afryki został założony specjalny obóz w pobliżu portu Karachi.

Liczba mieszkańców tego obozu jest zmienna. Niekiedy zmniejsza się ona do paru setek, niekiedy wzrasta do liczby przekraczającej znacznie tysiąc. Przebywają tu nieomal wyłącznie matki z nieletnimi dziećmi. Niekiedy tylko można spotkać całe rodziny, które tylko cudem zdołały się zebrać już na terenie Iranu. Są to jednak unikaty. Umyślne rozrywanie rodzin było stosowane jako zasada. To też bardzo dużo jest półsierot, których ojcowie umarli pod ciężarem "norm." Zdarzają się wypadki, że przybywają tu rodzice, których dzieci uprzednio wyewakuowano z terenu ZSRR i przewieziono do obozu Kiranagar. W tych wypadkach — o ile rodzice wyrażają odpowiednie życzenie — są one odsyłane do nich.

Nastroje w tym obozie są znacznie gorsze . . . — Ta masa ludzi o zbolałych duszach i starganych do ostateczności nerwach posuwająca się powoli, bardzo powoli ku "ziemi obiecanej" — wschodniej Afryce, traktuje ten obóz jako jeden z uciążliwych, lecz koniecznych etapów ponurej włóczęgi bez końca. W Iranie, dokąd ci nieszczęśliwi przybyli, brocząc i plując krwią, w żałobie po swych bliskich, pozostałych bądź w ziemi niegościnnej, bądź w oczekiwaniu na kawałek tej ziemi bez krzyża — mimo wszelkiej pomocy, której doznali od zacnych Persów, naszej Delegatury oraz Anglików nie otrzymali tego, co im było potrzebne. Nie było możliwości. Wojna i tam pochłaniała zbyt wiele energii. To też obozy pod Teheranem i w Ahwazie — jakkolwiek nie były ciągiem dalszym poprzedniej drogi krzyżowej — nie należały jednak do przyjemności.

I w takim stanie duchowym nowe czekanie — nie wiadomo jak długie! To też nastroje naszych rodaków z reguły były smętne. Są to przecież duchowo i fizycznie chorzy ludzie. Chorzy zaś zawsze są uciążliwi dla zdrowych. To też dużo kłopotów ma angielski komendant obozu i zdublowany polski — p. Andrzej Terlecki. Ostatecznie wprowadzono tu rygor wojskowy i tryb życia mniej więcej także wojskowy. Te zarządzenia są bardzo uciążliwe dla tych pokrzywdzonych przez los ludzi, lecz trudno — tego wymaga wojna i konieczność, bezwzględna konieczność zwycięstwa. Ostatecznie nasi zrozumieli chłodne, lecz uczciwe i rzetelne serca Anglików i "jakoś tam idzie."

Niesłychanie skomplikowane wewnętrzne stosunki na terenie Indyj, tarcia natury polityczno-ekonomicznej, oraz rola, którą odgrywa ten kraj w obecnej wojnie, spowodowały, że władze wojskowe i administracyjne są tu wyjątkowo czujne i podejrzliwe, na każdego przybysza długo patrzą z rezerwą. To też wyjście z obozu jest dozwolone tylko za przepustką angielskiego komendanta obozu. Obóz jest otoczony drutem. Wartę pełnią Hindusi. Rzecz jasna, że życie w takich warunkach nie może nabrać cech stałości. Wszystko żyje pod znakiem pytania: "kiedy nastąpi wyjazd do Afryki"?

Tym niemniej, konieczność przebywanie w tym obozie, trwająca miesiącami zmusza jego mieszkańców do organizacji własnego życia oraz do troski, aby dzieci w tym czasie mogły korzystać z nauki jak i kuracji po przebytym, ciężkim etapie życia. To też pod kierownictwem p. Terleckiego każdorazowy transport wybiera t.zw. "policję porządkową" — coś w rodzaju ochotniczej straży obywatelskiej — która dba, aby zarządzenia władz angielskich były należycie wykonywane.

Poza tym ze składu każdego transportu wybiera się ludzi zdolnych do prowadzenia nauki, przede wszystkim zawodowych nauczycieli, a w braku ich ludzi z inteligencji. Organizują oni szkoły, a właściwie dorywcze kursy dla dzieci, których program jest mniej więcej obliczony ma przypuszczalny czas wyczekiwania. Poszczególne klasy tych prowizorycznych szkół skupiają dzieci nie według wieku, lecz według rozwoju umysłowego. Tu także, jak i w obozie dla sierot, daje się we znaki fatalny brak podręczników polskich. Natomiast warunki sanitarne są dobre. Kuchnie, pralnie, szpitale, przychodnie lekarskie i t.d. są postawione na odpowiednim poziomie. Niedzielne nabożeństwo odprawia katolicki ksiądz — Holender z pobliskiego klasztoru OO Franciszkanów.

Oba obozy są podporządkowane Delegatowi Min. Pracy i Op. Społ. p. Banasińskiej. P. Banasińska wkłada w dzieło postawienia tych obozów na należytym poziomie — dużo energii i ofiarnej pracy. Dzięki temu, że przebywa ona na terenie Indyj kilkanaście lat i doskonale zna stosunki i "chody," oraz ma dostęp do najwyższych osobistości kierujących krajem — praca jej jest bardzo owocna i pożyteczna. Wielką pomoc wszystkim Polakom przebywającym w Indiach okazuje Lady Lumley — małżonka gubernatora Bombayu, która obdarowuje nasze dzieci — zwłaszcza sieroty — po prostu matczyną opieką, urządzając dla nich wycieczki krajoznawcze, przedstawienia teatralne, przyjmując u siebie w pałacu całe ich zespoły, lecząc je i t.d.

Aby dać pełny obraz naszej emigracji na terenie Indyj należy wspomnieć jeszcze o jednym strumyczku naszych uchodźców. Są to uchodźcy przed . . . Japończykami. Niewielu ich jest, najwyżej około 300 rodzin. Zostały one wyewakuowane z Hong-Kongu, Singapore, Burmy i wysp Sundajskich. Ci obywatele nie nastręczają dużo kłopotów. Doskonała znajomość językа angielskiego, znajomość zwyczajów i praw oraz obrotność, nabyta w czasie kilkunastu lat życia w tych krajach, w wielkim stopniu ułatwia im znalezienie pracy i środków zarobkowania. Dość powiedzieć, że na blisko 200 rodzin tego uchodźstwa, skoncentrowanych w Bombaju, w lutym b.r., tylko cztery rodziny były jeszcze na utrzymaniu Konsulatu Gen. R.P. Reszta się usamodzielniła.

* * *

Jak żyje ta emigracja pokazuje następujący obrazek. Bombaj w południe . . . Po jezdni jednej z głównych ulic nieprzerwanym sznurem suną eleganckie limuzyny, między nimi prą naprzód piętrowe tramwaje, autobusy i masy taksówek. Szerokie chodniki zapełnione tłumem ubranym na biało. W wystawach sklepowych magazynów, których nie powstydziłaby się Regent Street w Londynie rozmaite rzeczy . . . Czego tam nie ma . . . Jedwab, biżuteria, złote i srebrne wyroby, galanteria skórzana, wieczne pióra wszystkich marek. Wszystko naturalnie jest sprzedawane bez kuponów i kartek, o których istnieniu nikt nawet nie wie. W ogromnych owocarniach masa pomarańcz, jabłek, bananów i ananasów . . .

Pewnego dnia wałęsałem się bez celu po tym — bez przesady można powiedzieć — raju na ziemi, odpoczywając po irackich przestworzach pustynnych. Wałęsałem się jednak z żalem w sercu. Dlaczego my Polacy musimy tak cierpieć? Dlaczego Warszawa leży w gruzach? Dlaczego nie możemy nigdy zaznać spokoju i dorobić się do tego, czego dorobiły się inne narody? My cierpimy od czterech lat a tu "black-out" został zaprowadzony dopiero od kilku tygodni w związku z ukazaniem się na pobliskich wodach jakiegoś tam zabłąkanego japońskiego okrętu podwodnego. Taki jest nasz przeklęty los . . . Z tej zadumy obudził mnie w pewnym momencie polski głos.

—"Dzień dobry, panie Jaskowski."

Zdębiałem. Tu w Bombaju! . . . Zaiste świat jest mały! . . . Przede mną stał mężczyzna, brunet ubrany na biało. Nie miałem pojęcia, kto to jest.

—"Co? Pan mnie nie poznajesz? Przecież pan był moim dowódcą kompanii w osiem pięć . . . w Nowej Wilejce . . ." — Tu na biało ubrany człowiek zniżył głos . . . — "Jeszcze mnie pan dał tydzień koszarniaka." — Teraz głos na biało ubranego pana przeszedł na szept . . . — "Ale pod hajrem . . . wtedy nic a nic nie zawiniłem. To wszystko ten pan plutonowy na mnie nagadał" . . . — Głos bruneta w białym nieskazitelnym garniturze nabrał energii i pewności siebie." Ale to nic . . . Pan był moim dowódcą i ja proszę pana na obiad. Odpocznie pan. Wanna jest. Na chwileczkę tylko wstąpimy do kantoru. Muszę go zamknąć."

Zgodziłem się. Poszliśmy zamykać kantor. Potem brunet w białym zaprowadził mnie na plac gdzie stało około dwóch setek uszeregowanych samochodów prywatnych, posadził mnie do swej maszyny i pojechaliśmy. Po obu stronach biegły wstecz olbrzymie pałace, drapacze chmur, luksusowe hotele i znów pałace, potem pobiegły podmiejskie wille tonące w bujnej tropikalnej roślinności do tego stopnia, że były widoczne tylko dachy a czasem tylko górne piętra. Wreszcie zabłysnął złocisto niebieską taflą Ocean Indyjski. Samochód stanął przed ładną willą . . .

Na spotkanie wyszła młoda kobieta, która piękną polszczyzną serdecznie mnie przywitała. W domu był duży dostatek, obsługa hinduska, dużo kwiatów, dywanów. Przez żaluzje przedostawały się smugi słońca. Zaczęły się opowiadania. Opowiedziałem swe dzieje. Pani przeżycia własne i męża. Ukończyła w Warszawie W.S.H. potem emigracja do Palestyny, praca w kibucu, potem zamążpójście. Następnie wyjazd na Sumatrę, gdzie mąż dostał stanowiska vice-dyrektora w przedsiębiorstwie naftowym potem przejażdżka do Bombaju na koszt przedsiębiorstwa i wreszcie zatrudnienie w Bombaju w tymże ewakuowanym tu zarządzie . . .

Nie będę opisywał dostatniości obiadu. Wystarczy powiedzieć, że gdy Hindus przyniósł likier gospodarz uderzając swój kieliszek o mój powiedział:

—"Ale wtedy naprawdę nic a nic nie zawiniłem . . . to ten plutonowy."

Gdy gospodarze dowiedzieli się, że mam sprawę służbową w Konsulacie wyrazili gotowość zawiezienia mnie samochodem. Naturalnie ucieszyłem się. Państwo poszli się przebierać po raz drugi. Po pewnym czasie przyszła pani domu ubrana w szary kostium i trzymając w ręku posążek Matki Boskiej wykonany ze słoniowej kości, dwie luksusowe książki o Indiach i dwa "Watermany" powiedziała:

—"Proszę Pana. Jestem Żydówką z pochodzenia, lecz Polką z uczucia i wychowania. Proszę to przyjąć od nas w dowód serdecznej przyjaźni, która między nami pozostanie i którą odnowimy, gdy się spotkamy w Warszawie."

Ucałowałem rękę.

—"A to ode mnie— na pamiątkę wspólnej służby w osiem pięć" — gospodarz wsunął mi w dłoń posążek Buddy.

W Konsulacie przyjęto nas serdecznie. W czasie rozmowy na dziedziniec Konsulatu wjechało auto PCK. To p. Banasińska ekspediowała do p. Van Damme dziewczynkę, której amputowano nogę.

Wyszedłem pokryjomu odwiedzić małą pacjentkę. Była to dziesięcioletnia Krysia z Brześcia. W obozie nad Peczorą odmroziła sobie nogi. Jedną nogę wyleczono, drugą trzeba było amputować, gdyż mimo wszystkich zabiegów ciału groziła gangrena. Dziewczynka leżała na posłaniu wewnątrz samochodu smutno patrząc niebieskimi oczami. Za chwilę miała jechać na rekonwalescencję.

Przywitaliśmy się. Okazało się, że Krysia jest sierotą. Rodzice umarli w czasie pracy w lesie nad budową kolei. Nie ma nikogo. Była w pierwszej klasie gimnazjum. Trzy lata nie pobiera żadnej nauki . . . To także jest uchodźstwo.

Dałem jej jedną książkę, "Watermana" i posążek Matki Boskiej. Krysia obejrzała obrazki a potem długo, długo, oglądała posążek, wreszcie przytuliła go do ust.

—"Tam nam mówili, że Matka Boska zapomniała o Polsce, ale ja w to nie wierzę."

Łzy ścisnęły mi gardło . . . Niedługo potem samochód odjechał.

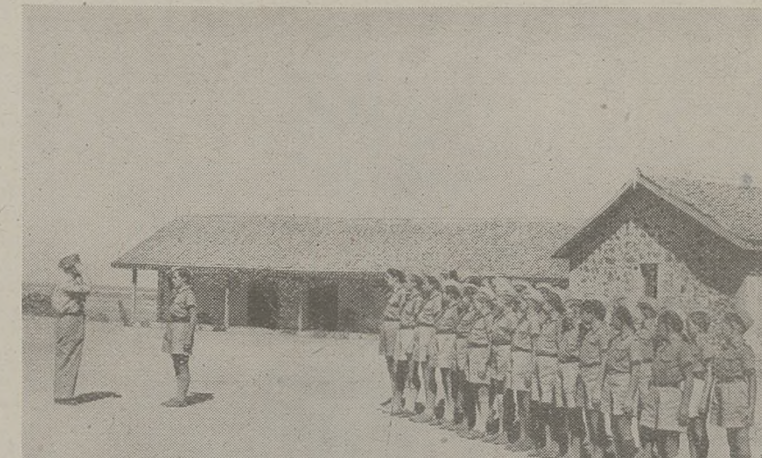
* * *

Tak oto przedstawia się "indyjski" fragment naszego życia na uchodźstwie. Spójrzmy smutnej prawdzie w oczy. Matki i sieroty polskie doznały wielkiej pomocy ze strony . . . obcych. Pomoc ta jest istotna i rzetelna. Jest to jednak pomoc obcych . . . Rząd Polski robi dużo. Mimo wszystko pomoc ta jest niewystarczająca. Nie trzeba zapominać, że ten rząd jest także na tułaczce. Natomiast pomoc ze strony emigracji polskiej przebywającej na terenie Wielkiej Brytanii jest znikoma a właściwie żadna.

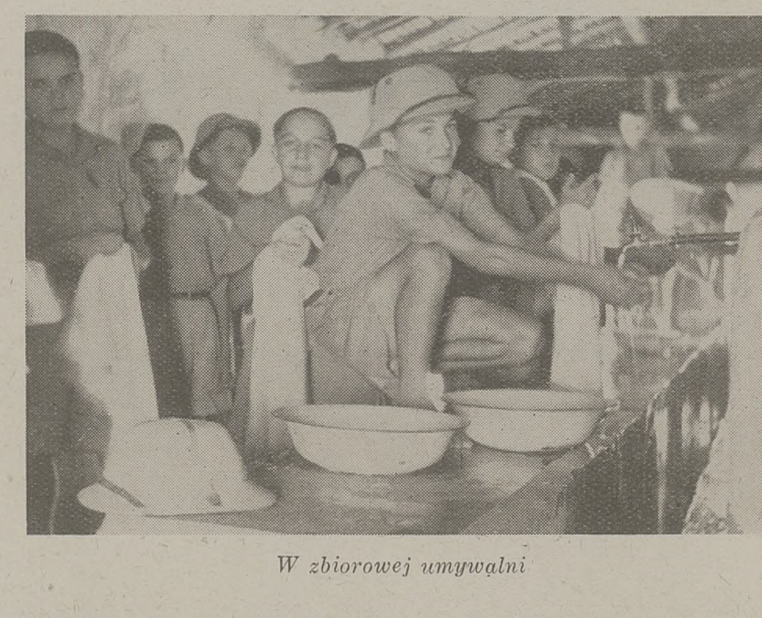
Niechże ci, którym tu "byczo jest," którzy nieraz żyją tak, jak nie żyli w Polsce, którzy dostają dziesiątki funtów miesięcznie, dopomogą bezdomnym dzieciom swego narodu. Dochodzi stamtąd błagalna prośba o książki polskie.

W obecnym tragicznym okresie, jaki przeżywa naród, gdy dziesiątki tysięcy jego dzieci giną czy to w Rosji, czy to w Niemczech, naszym świętym obowiązkiem jest wychować to, co się uratowało. Zaniedbanie tego było by wielkim, nieprzebaczalnym grzechem . . .

ARNOLD JASKOWSKI



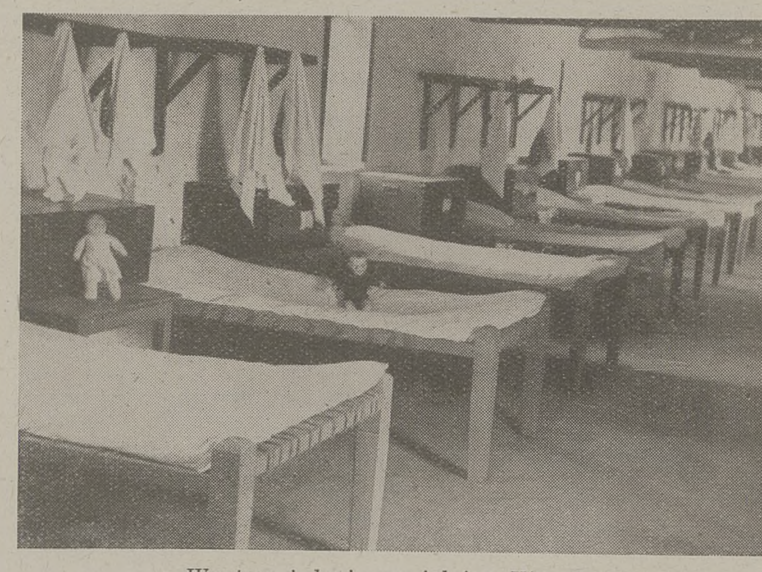
Raport w obozie dla chłopców



W zbiorowej umywalni



Klasa szkoły powszechnej



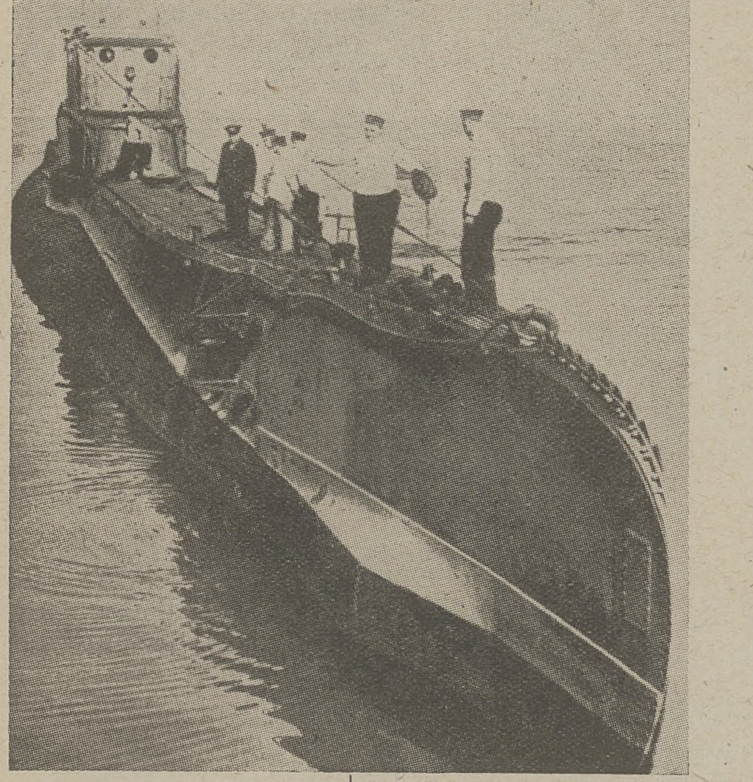
Wnętrze jednej z sypialni w Kiranagar



Dzieci polskie w Karachi

Jan Grudziński

III. Oczami innych*



Pewnego razu spotkałem w pociągu kapitana polskiej marynarki wojennej. Szybko znaleźliśmy wspólnych znajomych. Gdy pada nazwisko Grudzińskiego, tamten mrocznieje.

—Widziałem się z Jankiem przed jego wyjściem na ostatni patrol. Nie myślałem ani chwilę o tym, że może go spotkać niebezpieczeństwo. Biła z niego taka energia i taka fantazja . . .

—Nie wiadomo, że zginął. Przebąkują przecież, że część dostała się do niewoli.

Cisnął się jakbym dotknął go nieostrożnie w bolejące miejsce.

—Sprałbym tego, co wymyślił tę historię.

—Czyż to nieprawda?

—Łgarstwo od początku do końca. Durne, plotkarskie brednie. Wypłynęło stąd, że ktoś chciał kogoś pocieszyć, żeby zmniejszyć rozpacz po stracie. Kombinowano w ten sposób, żeby ból dawać dawkami. Konowały, capy głupie! Do gnoju im, nie do duszy ludzkiej. Co by pan powiedział o dentyście, który rwie ząb na raty!

—Czy jest stwierdzone niezbicie, że załoga zginęła?

—Stu procent pewności nie ma, ale jest dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych. To, że wyłowił ich, jak jedni podają, okręt szwedzki, inni — norweski, to wszystko bujda, wszystko wyssane z palca.

Nie wszyscy jednak z załogi " Orła " zginęli — to pewne. Upłynęło znowu kilka miesięcy. W witrynie księgarskiej przykuwa mój wzrok tytuł książki: "*Orzel's Patrol.*" Autor: podporucznik marynarki wojennej Eryk Sopoćko.

Po upływie minuty mam już książkę w ręku. Jest pisana po angielsku, lecz dość łatwo. Pochłaniam ją prawie bez używania słownika. Autor był jednym z załogi " Orła," którzy nie poszli na ostatni patrol. Dzięki temu mam możność brania teraz z pierwszego źródła wszystkich wrażeń i odczuć tych, co byli na " Orle."

Przeżywam ich nieludzkie wyczerpania i naprężenia, ich wysiłki woli i mięśni. Jestem z nimi tam w głębinach, wśród wyczekiwań. Dokoła błękitnawe światło, nadciśnienie zepsutego powietrza, pomieszanego z dawkami tlenu, woń potu i dwutlenku węgla. Suche gardła i płuca, wilgotne ciała. Za burtą czarna otchłań. Wśród niej rwą się straszliwe bomby głębinowe; raz bliżej, raz dalej.

Podchodzą, obramowują. Odeszły na chwilę, lecz oto się znowu zbliżają. Słychać pracę śrub myszkujących kontrtorpedowców niemieckich. Załoga czeka w naprężeniu nerwów. Rzuci teraz granat, czy nie rzuci. I tak z godziny na godzinę, z dnia na dzień. Lecz oni pełnią dalej swą służbę nieprzerwanie, bo tak każe rozkaz. Gdy jeden z oficerów wskutek zmęczenia, czy niewyspania popełnia błędy nawigacyjne, kapitan Grudziński dopinguje go łagodną ironią:

—Czy pan się śpieszy do domu?

Autor "*Orzel's Patrol*" jest w owych czasach podchorążym. Stoi od kapitana okrętu z daleka, zarówno prywatnie, jak i służbowo. Tym ciekawsze będzie dla mnie to, co powie o swoim dowódcy. Z niecierpliwością szukam jakiejś charakterystyki, jakichś rysów mego przyjaciela, podchwyconych przez obcego mi człowieka. Sopoćko pisze:

" Kapitan Grudziński niski, krępy jest człowiekiem uważnym do drobiazgowości. Jest wymagający, lecz równocześnie łagodny i pełen nadzwyczajnego samokrytycyzmu. On jest pierwszym z marynarki wojennej, który otrzymał z rąk generała Sikorskiego " Virtuti Militari." Nie będę się rozwodził o stosunkach pomiędzy załogą a kapitanem. Jest to sprawa zrozumiała dla każdego, kto ma chociażby najmniejsze wyobrażenie o życiu w czasie wojny, bądź na morzu, bądź na lądzie, czy też w powietrzu. Wspólne żarty i troski, wspólna idea, cel i zadanie, a w końcu znoje i niebezpieczeństwa, dzielone przez wszystkich jednakowo, jednoczą na zawsze ludzi z ich kapitanem."

Czytam z zapartym oddechem jak na nich polowano, jak się wymykali i kluczyli. Po jednym z takich wielu dni walki na śmierć i życie, podchorąży Sopoćko idzie o godzinie dwunastej w nocy spać. O czwartej nad ranem wraca znowu na służbę. Pisze o tym tak:

" O czwartej godzinie objąłem służbę. W kiosku dowódcy kapitan trwa bez przerwy; on był tu całą noc nie opuszczając go ani na chwilę. Jest zawsze troskliwy w sprawowaniu powierzonego mu obowiązku. Podziwiam jego spokój i głęboką przenikliwość, z jaką pełni swą służbę.

Gdy przybyłem do kiosku pozdrowiłem go. Objął mnie spojrzeniem:

—Jest pan zmęczony?

—Bynajmniej — zapewniłem go.

—Niech pan nie zaprzecza. Twarz pana mówi, że jest pan zmęczony. Spodziewam się, że dziś pójdzie łatwiej — mówił, nie odrywając oczu od peryskopu, za pomocą którego przeszukiwał horyzont, usiłując przeniknąć otaczające ciemności.

Moje serce było pełne dziwnego uczucia. Niektórzy nazwaliby to synowską miłością, inni przyjaźnią. Lecz to jest więcej, ponieważ łączy się ono z głębokim podziwem i czcią dla bohaterstwa, ze świadomością, że od pracy kapitana zależy nasze życie lub śmierć."

Wrastałem w tę książkę. Na tle niebezpieczeństw i wojny odkryłem ten sam, niespaczony ani na jotę obraz mego przyjaciela, jakim był poprzednio za czasów pokoju. Nie zmienił się ani trochę, nie wybiegł poza linie nakreślone moim przeczuwaniem. Świadek z ubocza potwierdził to samo. Pod mundurem ze szlifami komandora mieszkało to samo dobre, wielkie i odważne serce, które biło w piersiach kadeta Korpusu we Lwowie.

* * *

Idziemy dalej w wojnę, w zamieć rozpętanej nienawiści. Kiedyś wierzyłem, że nienawiść jest czynnikiem potrzebnym tak samo do życia, jak miłość i że życie bez tego ulega zwyrodnieniu. Może jest tak rzeczywiście z jakiejś pozaczasowej, idealnej perspektywy. Lecz my żyjemy w czasie i fakty uderzają w nas kataklizmem, dla którego próżno szukać w mózgu usprawiedliwienia i sensu. Choćby się żyło sto lat, nie wytłumaczy się sobie i nie zrozumie mordowni ludzkich w ulicach Warszawy, Rotterdamu, Coventry i Londynu.

Wśród takich przejść potężnych i szalonych, wszystko inne wygląda błaho i głupio. Nie wierzę dziś w nic, co nie służy wojnie i nie mam większego celu nad to, by tę wojnę wygrać. Gdy mi kiedyś mówią, że na naszą stację przyjeżdża " Lwowska Fala," przechodzi to koło mnie jako coś, co jest bezmiernie dalekie, bezmiernie stare i nie pasujące do tego świata rozszalałej wojennej rzeczywistości. Poszedłem jednak, może przez pamięć dawnych pokojowych czasów, czasów z bajki.

Sala wypełniona po brzegi. Brać pilocka i mechanicy w komplecie. Patrzę na te posiwiałe przedwcześnie włosy, na bezradosne twarze. Mówią o znoju i tęsknocie najgorszej, bo tłumionej, ukrywanej przed sobą i innymi szorstkim słowem, przekleństwem. Mówią o głodzie, strasznym głodzie polskości, polskiego słowa, wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z ojczyzną. Zanurzony w tę atmosferę poddaję się wewnętrznemu rozkładowi. Rozbrajam się z twardości i ironii nastawionej przeciw życiu.

Na sali gasną światła; jest to ostatnia więź łącząca mnie z rzeczywistością. Niech mi się wydaje, że słucham z Tobą, Mój Stary, " Wesołej Fali," jak ongiś w Warszawie w moim mieszkaniu na Koszykowej. Wystarczy wyciągnąć rękę, by ująć Twoje ramię. Za oknami śnieg i wichura. Gdy skończymy słuchać, będziesz mi długo opowiadać na jakie wspaniałe, obrazoburcze powiedzenia zdobył się Bernard Shaw w " Pygmalionie," lub jak Eichlerówna interpretowała " Madame Sans Gêne."

Na scenę występuje Mira Grelichowska. Ma na sobie marynarski strój. Będzie coś o morzu. Przyszedłem późno i nie widziałem programu. Dlatego słowa deklamującej uderzają we mnie jak czyjeś raptowne szaleństwo.

—Komandorze Grudziński!

Co to! Gdzie Twoje ramię? Gdzie ulica Koszykowa? Gdzie Warszawa? Nie łudźmy się więcej. Tu jest Anglia, lotnicza stacja i ludzie, z których jedni latają i giną, a drudzy harują z nieludzkim poświęceniem od świtu do nocy.

Słucham zaskoczony, wstrząśnięty głosu płynącego wołaniem ze sceny:

—Komandorze Grudziński! *
Komendy nie dajesz?
Przez peryskop nie patrzysz?
Przy sterze nie stajesz?
Co się z Tobą stało młody komandorze?
Mapy w kąt rzucone a załoga w śnie,
Słyszysz jak sztormem woła Ciebie morze?
Milczysz . . .

Trzy lata temu! Gdyby ktoś powiedział, że to tak będzie. Ta " Lwowska Fala " w Londynie. Ty bohaterem wiersza. Wtedy, gdyśmy siedzieli ramię przy ramieniu, słuchając tejże " Fali." Nawet sen nie mógłby być bardziej nieprawdopodobny.

—Nie miałeś Polski i nie miałeś portu
Zamków przy działach nie miałeś i map
Byłeś podobny tym ostatnim fortom . . .

Przypomni mi się Tadzio Stefanicki zapatrzony w przyszłość, czy w wielkość przygniatającą go swoim wymiarem. To Legenda " Orła," Legenda Bałtyku.

—Cieśniny duńskie, wody Kattegatu,
Morze Północne, zna też Skagerrak
Pieśń o tym morskim zbłąkanym dziwaku
Co tak samotnie Polski nosił znak.

Deklamująca siłą swej ekspresji powiodła słuchających przez całe życie " Orła." Ostatnia zwrotka uderzyła nieodwołanym tragizmem. Zabłysło światło. Spojrzałem na te zryte wiatrami, zakamieniałe w znoju i walkach twarze. Były uroczyste i wzniosłe. Niejeden ocierał łzy.

* * *

W przemijaniu wartości, w przechodzeniu ich w nowe wymiary czasowe i przestrzenne najboleśniejszą rzeczą nie jest ich utrata całkowita. Edgar Allan Poe powiedział, że najstraszliwszym słowem jest " nigdy." Istotnie byłoby ono najbardziej złowrogim, gdyby czas zatrzymał się w miejscu. Lecz czas biegnie; nic się nie ostoi wobec niego. I słowo " nigdy " jutro już nie będzie miało tej siły i rozpaczy, jaką ma dzisiaj.

Najstraszliwszą rzeczą nie jest zgubienie szczęścia. Człowiek zaczyna dążyć po nowe, lub zamyka się dla świata, czerpiąc soki z przeszłości, a więc tworząc sobie świat imaginacyjny, oderwany zupełnie od rzeczywistości. Z tą namiastką można również żyć. Lecz co za nicość, co za bezdenna rozpacz spotyka człowieka, gdy jego szczęście ulega w jego oczach rozkładowi.

Bywa to tak: odjedziesz, a gdy wrócisz, znajdujesz ruinę i popiół. Bywa również tak: wczoraj była nadzieja. Oczywiście było jakieś tło. Może mały pokoik z firankami w oknach, które ruszają się od wiatru, a może zakątek jeziora. Dziś nadzieja umarła, ale tło zostało to samo. Ten sam pokoik, te same firanki, tak samo patrzy słońce i tak samo tyka zegar. Jeżeli to był zakątek jeziora, to tak samo woda odbija niebo i tak samo szemrzą szuwary. Nie można tego zrozumieć. Czarne nie byłoby tak czarne, gdyby go nie umieścili na białym tle. To pogłębia ból i rozpacz człowieka. Stają się one żywe, plastyczne i niewymierne.

Bywa to również tak: stoimy z Tobą, Mój Stary, ja i Kali, Mądry Obieżyświat na Górze Kamiennej pod krzyżem. Patrzymy na Gdynię. Oto poczta. Miała być najbardziej reprezentacyjnym gmachem, dziś jest już przeżytkiem i karzełkiem pomiędzy innymi budynkami. Tam dworzec; miasto przerosło go również. Tam kapitanat portu. Ten budynek w szerokie pasy to łuszczarnia ryżu. Tam w głębi na lewo szkoła marynarki handlowej. I tak od Oksywia aż po Orłowo cała Gdynia w naszych oczach. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi. Energia, impet, rozmach twórczy. Fantazja i realizm w cudownej zgodzie. Wykwit wszystkiego, co najlepsze i najtęższe. Kwiat Polski.

Stoimy tam pełni dumy i zachwytu. Jakże czujemy się tu mocni. Jakże przyszłość wygląda nam stąd jasna i prosta. Jak serca nasze biją jednakowym rytmem szczęścia.

Odwracam księgę czasu za jednym zamachem o trzy lata dalej. Siedzę w angielskim dworku z nieodłącznym kominkiem, chociaż to wiosna. Ty z " Orłem " na dnie Morza Północnego. Kali Mądry Obieżyświat w *Oflagu.* Przede mną leży książka: " Berlin's Diary " Williama Shirera. Czytam:

" Staliśmy na górze pośrodku Gdyni pod żelaznym — o ironio — krzyżem. Był to niemiecki posterunek obserwacyjny. Oficerowie z lornetkami stali zwartą grupą. Na przestrzał przez miasto, ponad dachami nowoczesnych budynków miasta, które było nadzieją Polski, śledziliśmy walkę toczącą się na północy Gdyni. Zostaliśmy zbudzeni tego ranka w Sopotach jej odgłosem. Niemiecki pancernik " Schleswig-Holstein," zakotwiczony w Gdańsku, strzelał ze swoich jedenasto-calowych dział nad naszymi głowami.

Teraz mogliśmy widzieć, jak na lądzie Niemcy otoczyli Polaków z trzech stron, a morze, z którego zionęły ogniem niemieckie pancerniki było stroną czwartą. Niemcy użyli wszystkich rodzajów broni, duże działa, małe działka, czołgi i samoloty. Polacy nie mieli nic, tylko karabiny maszynowe i dwa przeciwpancerne działka, za pomocą których usiłowali rozpaczliwie przeciwstawić się niemieckim gniazdom karabinów maszynowych i czołgom. Słychać było głęboki ryk niemieckiej artylerii i ta . . . ta . . . ta karabinów maszynowych po obu stronach.

Polacy /zgadywaliśmy to po odgłosach ich ognia, ponieważ przez lornetkę widać było bardzo mało/ nie tylko bronili się z okopów i z poza krzaków, lecz używali każdego domu jako gniazda karabinu maszynowego. Zrobili oni fortecę z dwóch dużych budynków szkoły oficerskiej i radio-stacji i strzelali z okien tych budynków.

Po pół godzinie niemiecki pocisk przebił dach szkoły i wzniecił pożar, następnie niemiecka piechota wspomagana przez czołgi zaatakowała wzgórze i otoczyła budynek. Lecz nie wzięła go. Polacy walczyli dalej, strzelając z suteryn palącego się budynku. Byli desperaccy i dzielni.

Niemiecki wodnopłatowiec kierował ogniem artylerii. Później przyszły nurkowce i atakowały z lotu koszącego pozycje obrońców. W końcu pojawił się cały dywizjon samolotów.

Była to sytuacja beznadziejna dla Polaków, lecz oni walczyli dalej. Niemieccy oficerowie będący z nami chwalili ich odwagę. Na wprost pod nami w dole, w ulicach Gdyni kobiety i dzieci stały posępne i milczące, patrząc na tę nierówną walkę."

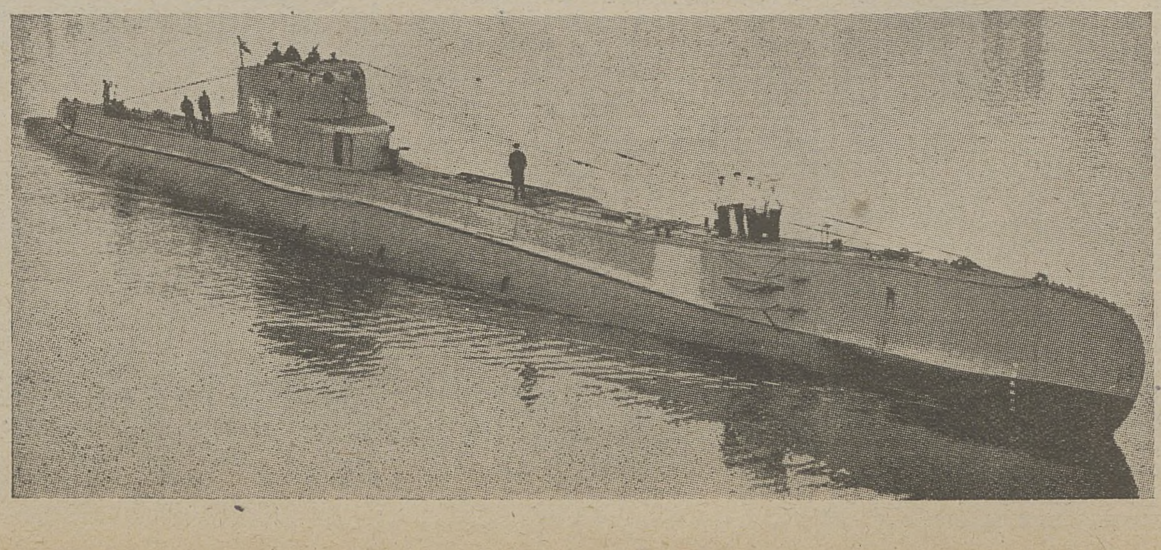
Chodzę brzegiem morza i chwytam w piersi wiatr, który idzie z mojej ojczyzny. Z kraju, gdzie szaleje terror i krzywda. Syczące fale, zamierając na ławicach mówią mi o wielkości mego narodu. O wzniosłości bólu i poświęcenia. Jest to siła, która przeprowadziła nas już raz przez otchłań niewoli. Siła, która nas wydźwignie i tym razem.

Ponad szarzyznę dni obecnych, ponad zgiełk przetargów i sporów promienieje nam ona, jak latarnia morska. Ona nam dała chwałę Helu, Westerplatte i Warszawy. Ona jaśniała spiżowymi postaciami Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, a potem Kościuszki i Traugutta. Ona jaśnieje obecnie Starzyńskim i Grudzińskim, setkami i tysiącami innych, częstokroć nieznanych bohaterów. Rumieni się młodą, gorącą krwią, woła świeżością grobów, tryumfem woli nad niewolą.

Słucham was fale, jak śpiewacie o mocy ducha ludzkiego. Tego ducha, który dał światu Termopile i pochodnie Nerona. Przeminął Rzym i Neron, przeminął Atylla i Dżingis-Chan, przeminął Iwan Groźny i jego oprycznicy. Nie będzie wyłomu od tego prawa i tym razem. Przeminie Hitler — fałszywy prorok, jak przemija fala, która znalazła swój brzeg. Nadejdzie znowu świt i tryumf ducha nad materią.

W walce o taką przyszłość poległeś dowódco " Orła," Komandorze Janie Grudziński.

STEFAN ŁASZKIEWICZ



* Por. część pierwszą: " Gdynia," druk. w nr. 22, część drugą: " Legenda " druk. w nr. 23 " Polski Walczącej " z b.r.

* " Orzeł " Wiktora Budzyńskiego.

"Pestki" maszerują . . .



RAZ . . . DWA . . .

Raz . . . dwa . . . raz . . . dwa . . . Maszerują "Pestki," maszerują . . . Te młode i te młodsze, te ładne i te ładniejsze. Ramiona wyprostowane, głowy zwrócone na prawo, maszerują miarowym, sztywnym krokiem, ćwicząc się na defiladę.

Stoimy grupą z boku drogi. Ruth Cowan, korespondentka wojenna "*Associated Press of America,*" Albert Mackie z "*Sunday Express'u*" w Glasgow, szoferka *M.T.C.* — Judy Leing i fotograf wojskowy porucznik S. Ruth jest mała, drobna i wyglądem zupełnie nie przypomina "*tough baby,*" jakiego oczekiwałoby się od reporterki, która w swej karierze "robiła" już aferę Al Capone'a, a ostatnio przyleciała do Anglii z frontu afrykańskiego. Mackie ma płomienno-rude włosy, wiecznie roześmianą twarz i ostry szkocki akcent. Oboje przyjechali do kadry "Pestek" jako goście Sekcji Polskich Korespondentów Wojennych.

Pierwsza to wycieczka prasy zagranicznej do "Pestek" i widać, że panienki postanowiły zadać fasonu. Musztra idzie pierwszorzędnie, żadnych pomyłek, komenda: "Na prawo zwrot!" wykonana jest z całkowitą jednomyślnością, nawet chóralne: "Czołem Pani Komendantko" ma, wbrew tradycjom babskiego wojska, przyjemne, altowe brzmienie. Oddział wygląda naprawdę po żołniersku.

NA STRZELNICY

Brniemy po rozmokłej od deszczu łące na strzelnicę. Oddział rozpada się na trzy grupy — jedna ma ćwiczenia z bronią małokalibrową, druga rzuca ręczne granaty, trzecia zaś gasi bomby zapalające. Kobiety z karabinami i granatami, to coś nieznanego ani w amerykańskich *WAACS'ach*, ani w brytyjskim *ATS.* "*News.*" Dziennikarze wyciągają notatniki, zapisują pracowicie szczegóły ćwiczeń, pytają o imiona i nazwiska ochotniczek, wiek, pochodzenie, rodziny.

Ruth z uśmiechem dowiaduje się, że "*private P.,*" oddająca właśnie serię strzałów, jest żoną generała dowodzącego dywizją polską na Środkowym Wschodzie; "*private Wanda R.,*" która w ciągu kilku minut gasi trzy bomby zapalające rozpryskujące się z szumem i hałasem w odległości metra czy dwóch przed jej pozycją, jest tłumaczką szeregu książek, literatką i absolwentką Uniwersytetu w Oxfordzie.

Na łące przed domem odbywają się ćwiczenia z granatami. Jako cele ustawiono na dykcie wymalowane podobizny Hitlera i Mussoliniego. Jedna z ochotniczek zajmuje pozycję do rzutu i po chwili pierwszy granat wylatuje w powietrze. Nie wiem, czy to "Pestkom" specjalnie w tym dniu szczęście sprzyja, czy też rzeczywiście takie wojackie mają talenty, w każdym razie pęka on z hukiem tuż przed obliczem Adolfa. — "*As good as dead*" — śmieje się Mackie.

Oglądamy jeszcze ćwiczenie ustawiania zasłony dymnej, poczem wracamy w kierunku obozu. Amerykanka gratuluje porucznikowi K., szefowi przeszkolenia "Pestek," pyta o jego opinię o żołnierskich zdolnościach kobiet. — "W niektórych rzeczach dorównują, a nawet prześcigają żołnierzy — odpowiada por. K. — w strzelaniu, na przykład na 36 ochotniczek 25 uzyskało wynik bardzo dobry. Są wytrwałe, trudy znoszą doskonale, a brak siły fizycznej nadrabiają ogromną ambicją. Żeby jeszcze mogły się pozbyć "damskiej gracji" w marszu, wszystko było by w porządku."

Bezpośrednio po obiedzie wyjeżdżamy z Komendantką Leśniakową do dalszych oddziałów PSWK. Nawet klimat zdecydował się kooperować po południu, bo słońce świeci i świat wygląda przyjemnie. Pierwsza nasza wizyta, to prowadzona przez "Pestki" świetlica żołnierska w Dowództwie Korpusu. Mijamy piękny stary park i auto zatrzymuje się przed gmachem Dowództwa.

—"*Say, is this a castle?*" — pyta Ruth. Niestety, nie. Taki sobie zwyczajny dom mieszkalny. — "*Have you got a ghost here?*" — "*No, sorry.*" Ruth jest zawiedziona. W wyobraźni jej Szkocja łączy się zawsze z obrazem starych wieżyc i romantycznych zamków, zamieszkałych niekiedy przez ludzi żywych, zawsze natomiast przez baraszkujące po nocach duchy. W ciągu czterech dni naszego objazdu Szkocji często jeszcze Amerykanka zadaje te same pytania, ale niestety odpowiedź jest niezmiennie przecząca.

Dopiero w ostatnim dniu trafiamy na autentyczny, choć mały zameczek z fosą, odwiecznym parkiem i . . . duchem. Duch jest podobno pierwszorzędny, zjawia się co noc z regularnością zegarka, puka w okna, przestawia antyki, a czasami w przypływie dobrego humoru łapie jakieś krzesło czy stół i niefrasobliwie wali nim o ścianę. Niestety, dzieląc się z nami tą wiadomością, obecna polska władza zameczku zastrzega tajemnicę, tak że *story* o polskich ośrodkach w Szkocji pójdzie niestety do Ameryki bez duchów. *So sorry!*

W świetlicy zastajemy duży ruch. Żołnierze siedzą przy stołach, rozmawiają, grają w domino czy szachy; obok odbywa się lekcja polskiego; profesorami są dwaj żołnierze, uczennicami zaś szoferki kanadyjskie. Uwagę cudzoziemców zwraca obecność w świetlicy równocześnie oficerów i żołnierzy — zwyczaj wprowadzony przez jedną ze świetliczarek i dotąd cieszący się poparciem wszystkich. "Pestki" prowadzące obecnie świetlicę są dawnymi świetliczarkami Polskiego Czerwonego Krzyża, które zgłosiły się do PSWK i po przejściu wstępnego przeszkolenia wojskowego powróciły do swej poprzedniej pracy, w mundurach żołnierskich.

W ŚWIETLICY

Następny nasz etap, to Pluton Szoferek PSWK przy Dowództwie Jednostek Terytorialnych. Przed budynkiem wita nas Sławomira O., znana w Polsce automobilistka, a obecnie kierowniczka plutonu. Wtorek jest "dniem konia" w Szkocji, czyli samochodów wojskowych się na ogół nie używa, a czas poświęcony jest na konserwację motorów. Wchodzimy na podwórze zastawione różnego rodzaju samochodami — od samochodów do przewozu wojsk do wielkich, kilkutonowych ciężarówek włącznie. Przy każdym pracuje jakaś kobieta w zielonym, wojskowym kombinezonie.

To pierwsza grupa "Pestek" przeszkolonych w Anglii na szoferki. Są między nimi młode dziewczęta, jak i kobiety koło czterdziestki. Jedna nachylona nad motorem sprawdza karburator, druga czyści świecę; w rogu podwórza jakaś młoda dziewczyna boryka się z olbrzymią oponą. Zaczynamy zadawać pytania. Przeszkolenie szoferskie trwało miesiące. "Pestki"-szoferki wywiązują się ze swych zadań bardzo dobrze, w niczym nie ustępują kolegom-żołnierzom. Szczegóły osobiste: — "Czym była pani przed wojną? . . ." — "Nauczycielką . . ." — "uczennicą . . ." — "pomagałam u ojca na gospodarstwie . . ." Ruth skrzętnie notuje. — "A mąż pani gdzie? . . ." — "Jeniec wojenny w Niemczech." — "W Wojsku Polskim na Środkowym Wschodzie." — "Był w Starobielsku . . ."

"DRAJWERKI" I "DRUCIKI"

Wchodzimy do lokalu centrum wyszkolenia łączności PSWK. Na wieszakach wzdłuż ściany palta, żołnierskie hełmy, na górnej półce ułożone szeregiem maski gazowe. Porządek — aż się świeci. Ten sam porządek i czystość skrupulatna w sali sypialnej. Przy sposobności słowo o kwaterach "Pestek." Zwiedziliśmy ich w czasie pobytu w Szkocji kilkanaście. Niektóre, jak w kadrze, zajmują całe budynki; inne mieszczą się w prywatnych mieszkaniach, często ciasnych, po kilka łóżek w pokoju.

Wszystkie jednak mają te same, wspólne cechy. Nie tylko szeregami ustawione drewniane czy żelazne łóżka żołnierskie, nie tylko bure, fasowane koce, czy zbite z desek stoliki nocne — ale czystość wprost pachnącą, ale dużo kwiatów i zieleni, ale wysiłek ogromny, żeby z tych bezosobowych kwater żołnierskich zrobić coś zbliżonego do domu. Więc na stolikach ustawia się fotografie jakieś, przeważnie wypłowiałe, często wymiętoszone; albo jakiś drobiazg — galonik srebrny, czy kawałek wstążki; prezent z wizyty świątecznej "Pestek" na O.R.P. "Garland," czy inna jaka pamiątka. A nad łóżkiem nieoprawiony, mały obrazek z książki do nabożeństwa — Matka Boska Częstochowska.

Przechodzimy do sali ćwiczeń. Przed odbiornikami radiowymi siedzą szeregi dziewcząt w khaki. Słuchawki na uszach, głowy pochylone nad notatnikami, odbierają komunikaty nadawane Morse'm przez jedną z radiostacji szkoleniowych. Dzisiaj, po sześciu miesiącach nauki, przyjmują przeciętnie 25 — 80 znaków na minutę; przed przejściem do służby w jednostkach to znaczy za cztery miesiące, będą musiały wykazać się szybkością 120 znaków na minutę.

Do plutonu łączności wybiera się na ogół dziewczęta młodsze, co nie przeszkadza, że w tej chwili na kursie szkolą się równocześnie matka, w wieku lat 40 z dwiema córkami — lat 18 i 20. Ku chwale matek-ochotniczek zapisać przytem należy, że w szybkości i sprawności ochotniczka K. bynajmniej nie ustępuje swym córkom!

W SZPITALU

Dzień kończymy świetnym podwieczorkiem w kasynie Dowództwa Jednostek Terytorialnych. Następnego dnia już o 9-tej rano jesteśmy w drodze do Szpitala Polowego Nr. 2, gdzie, jak nas informują, jest duży oddział "Pestek."

Rzeczywiście, jest ich pełno. Zielone mundury widać z pod fartuchów kucharskich czy pielęgniarskich; uczą się gotowania, pracują w magazynach, szwalniach. Po przeszkoleniu czteromiesięcznym przyszły na sale szpitalne, gdzie pracują pod kierunkiem wykwalifikowanych w Polsce sióstr Czerwonego Krzyża. Jak wszędzie, o pracy ich słyszymy tylko najlepsze opinie. Są chętne, pełne zapału i pogody.

W pracowni bakteriologicznej jasnowłosa, ładna "Pestka" siedzi przed mikroskopem i bada jakiś preparat. W pracowni jest dopiero od pięciu miesięcy, już jednak zrobiła duże postępy i samodzielnie robi różne analizy, testy czy badania krwi. I ona i koleżanki jej szkolące się w szpitalnym gabinecie roentgenologicznym wykonują dzisiaj potrzebną pracę wojenną, a równocześnie przygotowują się do zawodu, który po wojnie będzie w Polsce potrzebny, a im zapewni utrzymanie i byt.

Rozmawiamy z kilkoma dziewczętami. "*Human stories*" są tu na ogół niemal monotonne. Czasami tylko zabrzmi dźwięk inny, ostrzejszy, który jeszcze raz budzi w nas świadomość ogromu smutku i tragizmu przeżyć tych kobiet. Oto jedna historia. Jest jedną z najmłodszych Pestek, ma może 16-17 lat. W czepeczku pielęgniarskim, uśmiechnięta, roznosi zupę chorym. Zatrzymujemy ją na chwilę. Imię? Nazwisko? Skąd pochodzi? — Ruth zapisuje skrzętnie. — "*Ask her, where is her family?*" — zwraca się do mnie. Tłumaczę pytanie. Dziewczynie zmienia się twarz i jakimś obcym, oschłym głosem odpowiada — "Ja nie mam rodziny." — "*She has no family.*"

Po południu wyjeżdżamy do Domu Wypoczynkowego Żołnierza prowadzonego przez Polski Czerwony Krzyż. Obecnie, na przeciąg kilku tygodni, żołnierze udzielili w nim gościny grupie "Pestek" z transportu, który został storpedowany u wybrzeży Afryki. Trudno sobie wyobrazić idealniejsze miejsce wypoczynku dla tych kobiet. Wielki, stary park, komfortowy dom, jasne, przestronne pokoje. A przede wszystkim meble: piękne, staroświeckie — i "cywilne." Już to musi dobrze wpływać na samopoczucie obecnych mieszkanek, z których większość w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat widziała przecież tylko baraki obozowe czy prycze żołnierskie. Jest w tym Domu Wypoczynkowym atmosfera spokoju i ciszy, jest opieka i życzliwość, jest pomoc dla rekonwalescencji — nie tylko fizycznej.

Żona pułkownika lotnictwa była kasjerką transportu. Już kazali im skakać do wody, ale w ostatniej chwili zdążyła uratować torebkę z pieniędzmi. — "Trzymałam ją przez cały czas przewieszoną na rzemyku, przez ramię" — mówi nam z dumą. Siwa pani była śpiewaczką we Lwowie; pokazuje mi fotografię pięknej czarnowłosej kobiety. — "To ja, proszę Pani, w sierpniu, w 39-tym roku." Potem rozmawiamy z młodą dziewczyną, która dopiero po dwóch dniach i trzech nocach została wyciągnięta z wody. — "Byłyśmy całe pokryte smarem, i to nas pewno uratowało od rekinów." Już po 24 godzinach straciła przytomność i nie wie, czy rana, po której dotąd jeszcze ma wielką bliznę na nodze, to ślad rekina, czy też uderzyła się spadając z tratwy.

Wyjeżdżamy. Szkockim zwyczajem deszcz znowu leje. Z ganku, przez okna, żegnają nas twarze uśmiechnięte i przyjazne. — "Za trzy tygodnie idziemy na kurs rekrucki, niech panie przyjadą!" Trudno oprzeć się wrażeniu, jakie wywiera odwaga i męstwo tych kobiet. Przeszły najcięższą chyba szkołę. Nie załamały się; fizycznym niemal wysiłkiem starają się zerwać z tym, co było i iść dalej, naprzód.

Jaka jest ich postawa świadczą może najlepiej słowa ochotniczki K., przed wojną dumnej gospodyni wiejskiej na 18 morgach, dzisiaj równie dumnej kucharki obozowej w kadrze "Pestek": — "Wytrzymałyśmy — i wytrzymamy do końca wojny. A do gazety to niech pani napisze, że ja tylko jednego chcę — w tym mundurze zielonym, w tej czapce z orzełkiem do siebie na wieś, pod Nowogródek wrócić."

ŚWIĘTO "PESTEK"

Ostatni dzień naszego pobytu u "Pestek" zbiega się z zakończeniem 1-go kursu podstawowego przeszkolenia dla przyszłych instruktorek polskiego *WAAF.* Od rana w obozie ruch ogromny, zjeżdżają się dygnitarze z Dowództwa Korpusu, z Inspektoratu Lotnictwa. Punktualnie o godzinie 10-tej kolumna "Pestek" ustawia się przed polowym ołtarzem w ogrodzie. Po Mszy Św. przysięga żołnierska, potem defilada. Defiladę przyjmuje pułkownik K. imieniem Inspektora Lotnictwa i Komendantka Główna PSWK., st. Inspektorka Maria Leśniakowa. Wszystko niby odbywa się bardzo oficjalnie, ale widać, że wszystkim imponuje postawa żołnierska nowych "Pestek," że Pani Komendantka promienieje z radości, a sam pan instruktor przeszkolenia wojskowego patrzy z zadowoleniem na rezultaty swojej pracy i już nawet nie ma pretensji, że mimo wszystko panienki ciągle jeszcze "grację" mają!

Po południu mamy jeszcze parę godzin czasu przed herbatą i przedstawieniem, ale reporterzy, wiadomo, naród pracowity, zamiast korzystać z rzadkiej w Szkocji okazji i wygrzewać się na słońcu, co specjalnie wyszło, żeby "Pestkom" na ten ich uroczysty dzień poświecić, proszą o dalsze *stories.*

O to u "Pestek" łatwo. Ochotniczka Aniela P. ma na mundurze przypięte trzy odznaczenia. "Krzyż Zasługi," "Krzyż Walecznych," "*Croix de Guerre,*" pierwszy za pracę w Polsce, dwa ostatnie za kampanię francuską. Ochotniczka Stefania G. z koleżanką swą Dr. Jadwigą Z. brała udział w wyprawie norweskiej, dowożąc żywność i papierosy żołnierzom w pierwszej linii i utrzymując równocześnie 24-godzinną obsługę kantyny polskiej za frontem. Kom. plut. Alicja K. w czasie wojny w Polsce kierowała, jako jedna z komendantek P.W.K., akcją pomocniczej służby kobiet w rejonie Brześcia n/B; miała pod sobą personel przeszło dwutysięczny; po ewakuacji wojska, wszystkie czynności zostały w Brześciu przejęte przez kobiety.

Sensacją osobnej kategorii są dzieci obozowe "Pestek." Czteroletnia Basia, która dzisiaj mówi już lepiej po angielsku, niż po polsku, staje się od razu faworytką Mackie'go. Ruth interesuje się 10-miesięcznym Jerzym Andrzejem, synkiem ochotniczki K., ochrzczonym imionami tymi w geście kurtuazyjnym dla *His Majesty* i Patrona Szkocji.

Na krótko przed piątą idziemy do sali jadalnej, by czekać na przybycie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Zaszczyt to równie duży dla obozu, jak niespodziewany, ale "Pestki" stanęły na wysokości zadania, sala przybrana bogato bukietami zieleni i różnobarwnych rododendronów, pod ścianami stoły załadowane różnego rodzaju smakołykami.

Pan Prezydent wita się z Komendą, prasą zagraniczną, zamienia słów kilka z "Pestkami," poczem zaczyna się przedstawienie. Program obejmuje częściowo produkcje amatorskie samych "Pestek," częściowo zaś występ gościnny "Lwowskiej Fali." Są więc scenki obozowe, są recytacje dramatyczne, są monologi i pantominy śmieszne niesłychanie, jest piosenka o Lwowie i Wilnie.

Po zakończeniu programu artystycznego Pan Prezydent opuszcza obóz, a na sali, przy świetnej Kubusiowej Kapeli złożonej ze studentów Wydziału Lekarskiego w Edynburgu, zaczynają się tańce. Gości zjechała się masa, tłok niesłychany, ale wszyscy bawią się znakomicie. Amerykanka ma mniej więcej czterech amatorów na każdy taniec. Szkot z początku nie ma odwagi próbować swych tanecznych talentów, ale potem ulega perswazji jednej z uroczych "Pestek" i puszcza się w tany, jak twierdzi — po raz pierwszy od 15-tu lat!

POŻEGNANIE

Godziny mijają, orkiestra gra ostatni taniec, po trzech dniach spędzonych u "Pestek" przyszedł czas wyjeżdżać. Idziemy żegnać się z Panią Komendantką. Jakoś to pożegnanie niesporo idzie, nie umiemy znaleźć zręcznych słów, żeby powiedzieć, jak jesteśmy wdzięczni za gościnę, jak nam było dobrze. Wszystko to nie bardzo się klei, ale w tym momencie z końca sali odzywa się znowu muzyka. To "Lwowska Fala" w swój własny, ciepły i serdeczny sposób aranżuje to amerykańsko-szkocko-polskie pożegnanie. Najpierw "*Loch Lomond*" sprowadza błogi uśmiech na twarz Mackie'go, a potem bucha na salę tętniąca życiem i werwą piosenka "*America, I love you!* . . ." Ktoś chwyta małą Ruth Cowan i podnosi ją w górę, ktoś inny rzuca jej ogromną wiąź czerwonych rododendronów. Jakaś "Pestka" zrywa ze ściany drugi bukiet i wpycha go w ręce Mackie'mu. — "*Come back, soon!* . . ."

Jeszcze raz auto nasze przejeżdża aleją wysadzaną rododendronami. Mijamy bramę. Ktoś pyta się, jak po polsku "*Good-bye.*" "Dowidzenia."

—Dowidzenia, "Pestki." *Good luck!*

HALINA TOMASZEWSKA

Listy

Polski Czerwony Krzyż jest w posiadaniu listów lub wiadomości z Z.S.R.R. i Iranu, które nie mogą być doręczone odbiorcom z braku adresu.

Uprasza się o podanie adresów, lub posiadanych informacji o poszukiwanych osobach do P.C.K. Wydział dla Spraw Polaków w Z.S.R.R., 34, Belgrave Square, London, S.W.1, **powołując się na datę lub numer dzisiejszego numeru " Polski Walczącej."**

DEPESZE Z Z.S.R.R.

Wenarziniak Tadeusz od siostry dla Wiysel Paul od Lwów Zofii.

WIADOMOŚCI Z Z.S.R.R.

dla Bieniasz Kazimierz od Bieniasz Jadwiga, dla Burno Władysław, syn Pawła ur. 1893 od Burno Anna, dla Holcman od Cwerling.

LISTY Z Z.S.R.R.

Bednarski Tadeusz od Bednarska Wanda, dla Cwiczyński Kazimierz od Matkowska Kazimiera, dla Grynberg Dawid od Klajtman Felicja, dla Hershman S. od Sara Miriam Dreszman, dla Matkowski Witold od Matkowska Kazimiera, dla Piasecki Andrzej Brunon, lub Julian od Sokołowska Iza, dla Zalewski Jan od Zalewska Franciszka.

DEPESZE Z IRANU

dla Banach Franciszek od Zofii, dla Kucmierz Roman od Kucmierz Wanda, dla Meluk Adolf dla Wierzbicki Tadeusz Wierzbicka Filipina.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla Fygiel Tadeusz od Fygiel Maria-Anna, dla Szyckiewicz Juliusz od Czerna Stanisława.

LISTY Z IRANU

Ciążyński Bolesław od Ciążyński Czesława, dla Kolban Stella od Schmelz Kurt, dla Masłowski Józef od Masłowska Maria, dla Mitkiewicz Marta od Neuman Jana, dla Polnik Jan od Polnik Julia, dla Rękas Emil od Rękas Bronisławy, dla Siaczyński Franciszek od Swiątek Hilda, dla Siudak Antoni od Siudak Franciszek, dla Tober Henryk od Tober Maria, dla Wardyński Zdzisław od Wardyński Władysław, dla Zak Stanisław od Szmulczuk Izabela.

LISTY DLA PRZYBYŁYCH Z ROSJI

Filipek Tadeusz od Filipek Janina.

Celem umożliwienia bezzwłocznego przekazywania wiadomości i korespondencji nadchodzącej z ZSRR i Iranu uprasza się wszystkich o rejestrowanie się w PCK przez podanie: pełnego imienia i nazwiska ewentualnego stopnia wojskowego, daty urodzenia i dokładnego adresu oraz zgłaszania w PCK wszelkich zmian swego adresu.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,965

Od pracowniczek i świetliczarek Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii za miesiąc czerwiec 1943 r. £7.10.0 /siedem funtów, dziesięć szyl./.

* * *

£1.0.0 na biedne dzieci w Rosji.

Woźnica F.

* * *

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Narod. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego, progresywnego opodatkowania, przesyłają za miesiąc czerwiec £19.6.6 /dziewiętnaście funtów, sześć szylingów i sześć pensów/ na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Redakcja " Polski Walczącej,"

Za otrzymany numer " Polski Walczącej " bardzo dziękuję, a obecnie proszę o następne dwa numery t.j. No. 44, 46, 1942 r. o przesłanie na niżej podany adres za co z góry dziękuję.

Na koszta manipulacyjne przesyłam sh.5 a na przesłanie gazet " znaczki." Pozostaję w oczekiwaniu przychylnego załatwienia.

chor. W.S.

Przesłane sh.5 d.3 przekazaliśmy na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Przy niniejszym załączam przekaz pocztowy na sumę £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Z żołnierskim pozdrowieniem

pchor. J.S.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £29.1.9 /słownie dwadzieścia dziewięć funtów, jeden szyling i dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,965.2.3 /słownie osiem tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt pięć funtów, dwa szylingi i trzy pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, pięć i pół dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Grupa oficerów, uczniów Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego /A.C.T.C./ na jeńców polskich w obozach niemieckich składa sumę £6.10.0.

M.B. Mjr. pil. D-ca Dyonu

* * *

Przekazuję wygrany zakład w wys. £1.1.0 na jeńców polskich w Niemczech.

Mjr. dypl. Z.J.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £7.11.0 /słownie siedem funtów i jedenaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £414.10.5 /słownie czterysta czternaście funtów, dziesięć szylingów i pięć pensów/.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

" Polska Walcząca " w Londynie,

W dniu dzisiejszym wysłałem pod adresem " Polski Walczącej " 201 egzemplarzy różnych książek, broszur i miesięczników jako dar żołnierzy . . . Pułku Art. Ciężkiej dla żołnierzy polskich na Wschodzie.

Z poważaniem

p.o. Oficer Oświatowy
pchor. Józ. Z.

* * *

Przesyłam książkę " Ziemia gromadzi prochy " z prośbą o przekazanie jej dla żołnierzy polskich na Wschodzie.

Woźnica F.

W załączeniu przesyłam parę książek z prośbą o przekazanie ich dla Polskiego Żołnierza.

ppor. J.L.

Załączone: MacCallum: Nauka angielskiego. — Ekersley: Essential English. — Englisch in ein paar Tagen /część I. i II./. — Cant.M.A.: Scottish History—A General Review.

* * *

Przesyłam książki zebrane w szwadronie z prośbą o przekazanie ich tym, którzy ich potrzebują.

Z żołnierskim pozdrowieniem

por. M.

Załączone: 30 zeszytów Bellony, 17 książek i plik czasopism.

Z prośbą o przesłanie załączonych książek Polakom na Środkowym Wschodzie.

J.S.

Załączone: William Robson: Ustrój Wielkiej Brytanii. — Żeromski: Wierna rzeka.

* * *

Bezimiennie:

T. Sulimirski: Najstarsze dzieje narodu polskiego, — dla żołnierzy polskich na Wschodzie.

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1670 książek.

Adresy

1. **Bachrynowska** Zofia /4 Iran, Paiforce P.F./, 1.12.42.
2. **Błażuk** Jadwiga /5 Iran, Paiforce P.F./, 31.1.43.
3. **Chudarzewska** Maria /4 Iran, F.P.O. 103 Paiforce P.F./, 1.12.42.
4. **Frankiewicz** Anna /2 Iran, Paiforce P.F./, 1.12.42.
5. **Grodziński** Henryk, por., ojciec Czesława — Irak P.F.O. 551. Polish Forces, 1.12.42.
6. **Jurczyńska** Anna /5 Iran, Paiforce, Polish Forces/, 1.12.42.
7. **Jędrzejak** Maria /5 Iran, Paiforce, Polish Forces/, 31.1.43.
8. **Krakowska** Jadwiga /Iran, Paiforce, Polish Forces P.C.K./, 1.12.42.
9. **Kaliszek** Irena /5 F.P.O. 103. Polish Forces/ /rodzina Waleriana/, 1.12.42.
10. **Kolankowska** Stanisława /2 Iran, Paiforce, Polish Forces/, 1.12.42.
11. **Kubiś** Czesław /4 Iran, Paiforce, Polish Forces/, 1.12.42.
12. **Majewska** Jadwiga /Iran, F.P.O. 103/5, Polish Forces/ /Włodzimierza matka/, 1.12.42.
13. **Miśniakiewicz** Maria — matka Walerego /lotnika/ Iran, F.P.O. 103/5, Polish Forces, 1.12.42.
14. **Michalik** Jadwiga /5 F.P.O. 103. Iran, Polish Forces/, 1.12.42.
15. **Perekładowska** Stanisława /2 Iran, Paiforce P.F./, 31.1.43.
16. **Romaniszyn** Maria /Iran, F.P.O. 103/6 Polish Forces/ /matka Kazimierza/, 1.12.42.
17. **Sawicka** Katarzyna /6 Iran, Paiforce, Polish Forces/, 1.12.42.
18. **Stopyra** Jakub /Iran, F.P.O. 103/6 Polish Forces/, 1.12.42.
19. **Szpakowska** Augustyna /5 Iran, F.P.O. 103. Polish Forces/ /matka Adama z 61 p.p./, 1.12.42.
20. **Szuszkiewicz** Bronisława /2 Iran, Paiforce, Polish Forces, Ref. R.W./, 1.12.42.
21. **Żmigrod** Samson — 6. D.P. 16. Komp. Paiforce, 1.12.42.

Daty umieszczone przy nazwiskach wskazują okres, z którego pochodzi wiadomość.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Aby z prawdą uzgodnić
Bieg wydarzeń i rzeczy—

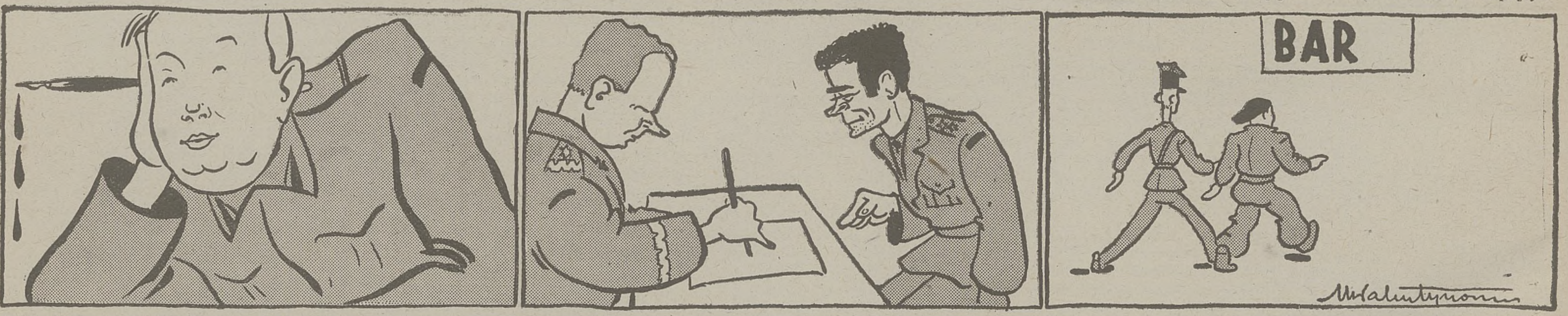
Zaproszono Walusia
Do redakcji " Odsieczy."

A w " Odsieczy " redaktor
Grube miał okulary,

Bez bujania—powiedział—
Wróbel jestem za stary.

Potem przyszedł pan malarz.
Kwaśno był uśmiechnięty

I zapytał Walusia
Czemu kołnierz odpięty?



Gdy Walenty zakończył
Swe zeznania najszczersze,

Polecono poecie
Szybko spisać je wierszem.

Potem szef tej redakcji
/Bo rzecz w wojsku się miała/—

Wywiad z Pompką zatwierdził
U P.T. Generała.

Tak się ongi zaczęły
Dzieje Pompki niekrótkie.

Aby malarz z poetą
Mieli czasem na wódkę.

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OSWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for " Polska Walcząca " by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

STANISŁAW ZWIĄZEK, Pol. Red Cr., 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, poszukuje Antoniego SŁAWIŃSKIEGO z b. 39. pp. Jarosław, ostatni znany adres: Parthenay, rue Bombarde 1.

* * *

MICHAŁ HALIŃSKI, Royal Victoria Hospital, Netley, Hants., n/Southampton W. 86, poszukuje Adama MALACHA i Władysława STRZELCZYNKA z Korzenicy pow. Jarosław.

* * *

PIOTR WINNICKI, Royal Victoria Hos., Netley, Hants, n/Southampton, W. 86 poszukuje KĘPA oraz:

WOJNIUZ z 77. pp. Lida oraz wszystkich znajomych którzy by mogli pomóc mu przy weryfikacji stopnia.

* * *

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

* * *

p. CZESŁAW JEŚMAN ma do odebrania list w redakcji.